Z lotu ptaka

Zbigniew Cechnicki

Motto:
„Najsilniejszy człowiek, który stoi sam".
Ibsen
„...tylko że siła samotności nie równa się
szczęściu przyjaźni".
Irena Rybczyńska

W 1944 roku dostałem od Reni Rybczyńskiej niewielką książeczkę – „Wróg ludu" Ibsena, z dedykacją: „Najsilniejszy człowiek, który stoi sam". Ona dopisała swoją uwagę jak wyżej.

Jesień. Paleta barw. Jak urzeczony patrzę na opadające bajecznie kolorowe liście. Tak różne, jak różne było moje życie: barwne, zawsze ciekawe, czasem zaskakujące. Jakbym spoglądał na minione lata z lotu ptaka lub z okna samolotu i co raz inny krajobraz wyłania się przed moimi oczami. Trudno uwierzyć, że dobijam setki. Z przyjemnością grzebię się we wspomnieniach, które w mojej pamięci zapisały się rozmaicie, raz lepiej, innym razem gorzej. Są takie, z których jestem dumny. Są również inne. Na myśl o nich jeszcze dziś pokrywam się rumieńcem. Pisanie sprawia mi wielką przyjemność, a komputer niezmiennie i stale mnie zdumiewa. Przeogromna różnorodność możliwości, ułatwień dla piszącego, niesamowitych udogodnień przy nanoszeniu poprawek codziennie na nowo wprawia mnie w osłupienie. Tak jak przed komputerem również przed radiem, telewizją, telefonem komórkowym staję w niemym zachwycie. Zawsze patrzę z jednakowym zdumieniem na niezwykłe i wciąż zaskakujące mnie wynalazki. Nowe zdobycze, które towarzyszą naszej codzienności, przenoszą mnie w zaczarowany, bajkowy, dziecięcy świat. Telefon komórkowy „obchodził na świecie, w ubiegłym tygodniu, już trzydzieste piąte urodziny". Nie mogę się pozbyć wrażenia, że zachowuję się jak człowiek pierwotny, który po raz pierwszy rozniecił i zobaczył ogień. Uskrzydla mnie, nobilituje, że biorę w tym osobiście udział. Poruszam się wśród tych urządzeń prawie swobodnie, posługuję się nimi prawie poprawnie, tak jakbym naprawdę się orientował, nawet wiedział doskonale, „o co tam chodzi". Mówiąc szczerze, nie mam zielonego pojęcia, na jakich zasadach działają. Tych niezwykłych i teraz dostępnych dla mnie urządzeń używam w miarę nabytych umiejętności. Każda z czynności w zasadzie przerasta moją najśmielszą wyobraźnię. Przyswoiłem sobie mniej niż pięć procent komputerowych możliwości na zasadzie ćwiczeń tępego rekruta „słoma-siano". Patrzę z zazdrością i podziwem na moją Oleńkę, na Krzysia lub Szymona, których palce obu rąk biegają swobodnie po klawiaturze komputera i wyczarowują niemożliwe. Każdemu się wydaje, że to, co robi, jest proste, ale tylko wtedy, gdy już dobrze przyswoi sobie nową umiejętność.

Piszę od rana, do wieczora. Bywa, że mam podstawowe wątpliwości, w jakim stopniu to, co robię, będzie w przyszłości komuś przydatne, czy kogoś będzie interesować, czy komukolwiek to, co piszę, jest potrzebne. Dla mnie zwykła, naturalna wdzięczność jest najlepszym rozliczeniem
z przeszłością. Kiedy Danusia wyjeżdża do wnuczek, by zastąpić Anię, zostaję w domu sam. Czuję się wtedy swobodnie, nic mnie nie krępuje. Cisza. Nikomu nie dokuczam, nie przeszkadzam. Kiedy prawda puka do drzwi, jedni robią hałas, drudzy udają głuchych, a tylko niektórzy mówią: „proszę". Z perspektywy czasu zawsze inaczej oceniamy swoje przeżycia. Mam świadomość, że mimo starań nikogo nie stać na pełny obiektywizm. Niektóre fakty nieświadomie przeinaczam. Przyczyną jest najczęściej tęsknota za minionym. Z reguły wspomnienia z młodości z czasem zwykliśmy oceniać z sentymentem, najczęściej w kategorii „dobre-różowe". Inne przeżycia będę świadomie troszkę naciągał. Wspominam nawet to, co wygodniej byłoby pominąć. Każdy się stara pokazać siebie w jak najkorzystniejszym świetle. Pisząc o sobie, chcielibyśmy na otoczeniu wywrzeć jak najlepsze wrażenie. Wspominam więc błędy, niedociągnięcia i drobne świństewka prawdziwie, ale oględnie, żeby wnuków nie gorszyć. Najczęściej wielu z nas chętnie przystraja się w piórka, paraduje jak paw, żeby innym zaimponować. Ja pozwalam sobie na luksus prawdy. Spod mojego pióra wyłoni się wizerunek własny bez retuszu. Przyjaciel powiedział mi kiedyś, że fikcji nie przyjmują ani w niebie, ani w piekle. To w końcu moje życie, moje osiągnięcia i potknięcia, moje poglądy, moje spojrzenie. Także uczciwe „nie wiem" dopełnia człowieka. Sprawia mi ogromne zadowolenie, gdy grzebię się w zamierzchłych, a zdawałoby się niedawnych przeżyciach i wydobywam je na światło dzienne. To, co kiedyś widziałem, teraz opisuję. Wśród drobiazgowych opisów miejsca urodzenia, otoczenia, wyłonią się rówieśnicy i dorośli, którzy w znaczący sposób wpływali na mnie, coś znaczyli w życiu jedynaka. Chciałbym przedstawić moje doznania, ale nie zawsze mówić o nich w konwencji „naj". Wiem dobrze,

że najłatwiej, najwyraźniej opisywać w tonacji czarno-białej. Ja będę wydobywał i utrwalał szarzyznę codzienności.

Nie jestem historykiem, raczej nudziarzem, czasami gawędziarzem. Miałem niecodzienne szczęście spotykać na drodze swojego życia ludzi niezwykłych, dobrych, szlachetnych, urzekających prostotą, zwyczajnym człowieczeństwem, ludzi, którzy mnie zafascynowali i których mile i z wdzięcznością wspominam. Noszę ich w swoim sercu. Prawie sto lat minęło. Wiadomo, że na szczęśliwą starość składają się także szczęśliwe wspomnienia z dzieciństwa, najczęściej opisywane z sentymentem. Myślę o mojej matce i moim ojcu, o rodzinie, przyjaciołach, kolegach, ludziach znaczących w moim życiu, o codzienności i niewyszukanych zabawach. Mam przed oczyma i chcę ożywić również to, co zniknęło bezpowrotnie. Z mojej opowieści wyłonią się domy osady fabrycznej, w których mieszkaliśmy, ciasnawe z reguły mieszkania, w których wzrastali moi koledzy i ich rodzeństwo, urządzenia komunalne, z których korzystaliśmy. Pokażę codzienność, przeciętność, zwyczajność. Opiszę ponad dwadzieścia budynków, których już nie ma, zostały zburzone, a na ich miejsce powstały nowe.

Naszą osadę pokażę tak, jak widziałem ją oczyma dziecka. Opiszę zamkniętą, robotniczą społeczność jak rodzinę, w której wszyscy znali się od podszewki, z którą ja się utożsamiałem. W moim odczuciu miałem wyraźną świadomość więzi, wspólnoty. Poziom życia, obowiązki, zwyczaje, nawyki higieniczno-sanitarne różniły przeciętne dziecko z osady od dzieci z otaczających osadę wsi. Zawdzięczaliśmy to dalekowzrocznej, wybiegającej ponad krajową przeciętność pięćdziesięcioletniej działalności społecznej dyrektora i współwłaściciela fabryki Edwarda Szeligi Natansona, który mieszkał w willi „Amelin" między osadą a Jeziorną. Edward Natanson nie tylko posiadał gruntowne wykształcenie jako absolwent Petersburskiego Instytutu Technicznego i zürychskich oraz niemieckich wyższych szkół technicznych, ale był także humanistą, wizjonerem o wielkiej społecznej wrażliwości, wspaniałym gospodarzem fabryki i osady. Wyróżniał się wyjątkową dbałością o oświatę pracowników, sam wszystkiego doglądał. Znany był z cotygodniowych, gospodarskich, osobistych kontaktów z ludźmi, fabryką, z rzeczowej kontroli produkcji. Pracowników znał po imieniu, po nazwisku. Zwracał się na przykład do siedemdziesięcioośmioletniego melarza: „Janie, może już dość żeście się naharowali, może byście dali spokój z pracą". Słyszał odpowiedź: „Dziękuję wielmożny panie hrabio, ale ja moją pracą żyję, lubię ją i umiem to robić". Pod koniec jego dyrektorowania „Mirków" osiągnął w roku 1930 trzynaście procent ogólnokrajowej produkcji papieru. W moim przekonaniu zmarły w 1940 roku dyrektor Natanson wystawił sobie w sercach robotników i mieszkańców osady fabrycznej pomnik aere perenius (trwalszy od spiżu).

Opiszę też nowe, powstałe na moich oczach budynki i urządzenia. Przedstawię przede wszystkim obraz dawnej osady i porównam ją z dzisiejszą. Ogromne zmiany zaszły w ludziach. Gdy idę obecnie między starymi domami osady, tylko czasem uda mi się spotkać, rozpoznać, pozdrowić pojedynczych znajomych. Muszę pamiętać, że dzielą mnie od czasów mego dzieciństwa trzy pokolenia. Współcześni mają zupełnie inny sposób patrzenia na świat. Dzieli nas rewolucja technologiczna, która wyraża się nawet w nazewnictwie. Śmieszy nas obecnie, że w tamtych czasach lokomotywę nazywano żelaznym koniem. Warto ją porównać z szybką koleją elektryczną w Japonii osiągającą prędkość pięciuset kilometrów na godzinę. Samolot nazywano latającą maszyną. Teraz latamy ponaddźwiękowym odrzutowcem zabierającym na pokład kilkuset pasażerów. Mojemu ojcu skąpa prababcia Teklusia opowiadała, jak jej starzy ludzie mówili, że w przyszłości „cały świat będzie owinięty drutami". Mam fotografię, najstarszą w moim zbiorze, przedstawiającą Teklę z Chmielnickich Cechnicką (1834-1912). Łączność przewodowa potwierdziła, jak trafne były ich przewidywania. Dla współczesnych jest to znowu nowy już anachronizm. Gdy 30 lat temu rozbudowywałem domek, w którym obecnie mieszka mój syn Krzysztof, wszędzie pod podłogą umieściłem plastikowe rury, żeby w przyszłości mieć bezkolizyjnie telefon w każdym pokoju. Okazało się, że moja zapobiegliwość była niepotrzebna, nikomu nieprzydatna, w ogóle zbyteczna. Nigdy z sieci rozprowadzonych pod podłogą rur nie skorzystałem, ponieważ jeszcze zanim ukończyłem rozbudowę, wkroczyła pełną parą w życie i uzyskała zasłużone obywatelstwo telefonia bezprzewodowa. Mam wrażenie, że za pięćdziesiąt lat moich wnuków będzie bawiła nazwa „telefon komórkowy". Przetrwały stare, wieczne pojęcia, takie jak przyjaźń, matczyne uczucia, miłość, zazdrość, ukryta lub jawna nienawiść, dążenie do władzy i niewypuszczanie jej z rąk za wszelką cenę. Uległy zmianie stosunki rodzinne, rozluźniły się więzi, zupełnie zmienił się ogólny poziom życia, nawet sposób odżywiania. Inne jest zaangażowanie jednostki w życiu społecznym i gospodarczym. Nastąpiły ogromne zmiany technologiczne i zasadnicze, istotne zmiany w sposobie porozumiewania się między ludźmi, stosunki interpersonalne. Będę więc porównywał moją dawną osadę fabryczną z tą, którą zostawiłem, idąc w 1945 roku na studia, z tą, którą zastałem po powrocie z Krakowa, z wojska, w 1962 roku. Uwypuklę zmiany, porównując osadę z Nową Jeziorną, w której obecnie mieszkam. Nowa Jeziorna to jedna z dzielnic dwudziestotrzytysięcznego podstołecznego miasta skansenu, uzdrowiska w pobliżu Warszawy. Do takiego miana pretenduje dziś na obrzeżu metropolii Konstancin-Jeziorna.

Kolebką Konstancina był pałac w Oborach. Jego właścicielka hrabina Grzymała-Potulicka zapisała część majątku siostrze Konstancji, której syn, hrabia Witold Skórzewski, zakładaną w 1897 roku reprezentacyjną miejscowość podstołeczną dla uczczenia matki nazwał Konstancyją, a następnie Konstancinem. Mikroklimat, czysta Jeziorka, kanalizacja, elektryczność, własna centrala telefoniczna, wodociąg miejski – wszystko to przyciągało nabywców. Do dobrego tonu w kręgu „towarzystwa" należało mieć willę w Konstancinie. Mimo wysokiej ceny wszystkie rozparcelowane działki zostały sprzedane. Właściciele prześcigali się, aby stworzyć imponujące wille. Budowali przemysłowcy, artyści, bankierzy, sławni, wzięci architekci. Tu mieszkali i tworzyli Gąsiorowski i Żeromski. Przyjeżdżali niedzielni goście. Sezonowa śmietanka towarzyska, bywalcy pensjonatów, letnicy, właściciele willi urządzający wystawne przyjęcia, bywalcy restauracji Berentowicza czy „Casina" bardziej byli znani warszawiakom niż nam, mieszkańcom Mirkowa czy Jeziorny. Nie bardzo są odlegle czasy dzieciństwa, kiedy my, mieszkańcy osady, poza Grapą czy restauracją Mrozowskiego nie mieliśmy ani potrzeby, ani ochoty odwiedzać Konstancina, Skolimowa, Chylic.

Do Konstancina chodziliśmy dopiero od roku 1933 do nowej apteki, którą magister Konieczny zbudował swojej córce w posagu, oraz do willi „Janówka", gdzie gmina Skolimów otworzyła pierwszą w mieście przychodnię Kasy Chorych, z poradniami ogólną dla dzieci i przeciwgruźliczą. Po drugiej wojnie światowej powstały dwa ośrodki zdrowia. Tak wtedy nazywano poradnie ogólną i dziecięcą, w których czasami przyjmował specjalista ginekolog. W powiatowej przychodni zawsze przyjmowali chirurg, laryngolog, reumatolog, a od paru lat również kardiolog i diabetolog. Przychodnia miała obowiązkowo laboratorium, EKG, audiometr, RTG, naturalnie również gabinet zabiegowy. W osobnym miejscu przyjmowali w powiecie psychiatra i psycholog. W willi „Janówka" jeszcze dziesięć lat po wojnie była poradnia przeciwgruźlicza dla dorosłych i dzieci, dopóki nie została przeniesiona do Zalesia Górnego na ulicę Dębową.

Dzisiaj myślenie o tych wspaniałych, imponujących dwustu dwudziestu sześciu konstancińskich willach, niedostępnych za wysokimi płotami, często kłujących w oczy symboli widomego luksusu i kaprysu nowobogackich będzie anachronizmem. Odremontowane, dopieszczone, mimo że zmieniły nominalnych właścicieli, stale zachwycają unikatową w skali kraju architekturą. Obok starych powstają nowe wille, budowane w podobnie wyszukanym stylu. w dalszym ciągu Konstancin zachwyca innością, jest ekstrawagancki, na szczęście coraz bardziej elegancki. Miasto porządkuje ulice, współczesne oświetlenie dodaje w nocy właściwego nastroju i uroku. Park upodabnia się do dawnego, mimo że w latach pięćdziesiątych zniknęły przystań kajakowa, Cafe-Restaurant „Casino", bezużyteczna jest od lat wieża ciśnień przy ulicy Żeromskiego (dawniej przy alei Witolda, własność Towarzystwa Ulepszonych Miejscowości Letniczych). Nieczynne są obecnie ekskluzywne pensjonaty, którymi chełpiły się Konstancin i Skolimów. Konstancin nie uległ zagładzie jak Warszawa. Wojna go w całości oszczędziła. W czasie wojny wille okupowali ozdrowieńcy, oficerowie i żołnierze Wehrmachtu i Luftwaffe. Po wojnie wille na Królewskiej Górze zaanektowali dla siebie bonzowie z Komitetu Centralnego i rządu. W pozostałych zamieszkali przypadkowi użytkownicy, którzy dewastowali domy, niszczyli unikatowe meble, chowali króliki, kury, nawet świnie, beztrosko użytkując pomieszczenia, często urągająco, niezgodnie z sensem i przeznaczeniem. Tak było do 1956 roku. Na przykład willa „Hugonówka", zwana „Pod Diabłami". Najpierw miał tu siedzibę zespół „Mazowsze", potem przez wiele lat było tam jedyne kino „Beata". Teraz użytkownikiem jest Uzdrowisko Konstancin.

Od 1962 roku Konstancin nie jest samodzielną gminą. Wojewódzka Rada Narodowa połączyła go w jedną jednostkę administracyjną z Jeziorną. Powstał śmieszny twór, zlepek uzdrowiska z robotniczą fabryką „Mirków". Konstancinowi otrzymany w 1917 roku status uzdrowiska przywrócono w roku 1972 i jest to dziś jedyne uzdrowisko w województwie warszawskim. Warszawiacy tłumnie odwiedzają snobistyczny Konstancin, szczególnie latem. Znacznym ułatwieniem, podobnie jak w 1910 roku, była kolejka wilanowska dojeżdżająca jeszcze w latach pięćdziesiątych do Rozjazdu Oborskiego. Dziś pozostał po niej tylko uroczy drewniany budynek dworca. Kolej szerokotorowa z Piaseczna do Mirkowa służy teraz jedynie zaopatrywaniu w węgiel elektrociepłowni „Siekierki".

Przed wojną mój Mirków był „towarzysko" odizolowany. Co poniektóry mieszkaniec pracował w Konstancinie jako stróż, żona jego była służącą lub pokojówką „u państwa", co było uważane za swoisty awans. Pomoc domowa miała kąt do spania, pensję wysokości dwudziestu-trzydziestu złotych miesięcznie i utrzymanie. Stróż dostawał mieszkanie dla siebie i rodziny, pensja nigdy nie przekraczała osiemdziesięciu złotych. „Niech w sobotę i niedzielę przyjdą dzieci, będą podawały piłki tenisowe". I dzieciaki dostawały za całodzienną usługę, ku swojemu nadzwyczajnemu zadowoleniu, niklowaną złotówkę. Baby wiejskie miały „wyrobionych" w określone

dni stałych odbiorców na świeże mleko, masło, jaja, warzywa i owoce. Czasami zapobiegliwy masarz z Jeziorny, zawiadomiony wcześniej przez umyślnego, dostarczał przepyszne, świeże wyroby wędliniarskie. Na tym właściwie kończyły się kontakty. Wspominając snobistyczny Konstancin, muszę jednak przyznać, że relacje z nim były kulturalne, miłe, przyjazne, nigdy nikt nie określał ich jako wrogie. I tu zaczynam moje osobiste „Colas Breugnon".

Hrabia Wielopolski, właściciel dóbr Obory, zbudował w 1760 roku na rzece Jeziorce młyn wodny papierniczo-zbożowy, w którym „majster kunsztu papierskiego w dwóch kadziach papier czerpał". Towar swój dziedzicowi Obór oddawał i do Warszawy woził. Od czasów Stanisława Augusta spotykane są ważne dokumenty wagi państwowej gęsim piórem pisane w kancelarii królewskiej: „Majster ten nazwą papierni Jeziorny na sicie dłutem wyszył, a na niektórych papierach orła z Ciołkiem z herbu króla Stanisława Poniatowskiego wyrobił". Kupiec w pałacu Blanka skład papieru posiadający Fryderyk Thiess 19 czerwca 1778 podpisał z hrabią Wielopolskim z Obór akt, „na mocy którego młyn papierniczo-zbożowy w wieczyste posiadanie objął". Za rządów Jana Thiessa Naczelnik Kościuszko kazał te papiery na asygnaty przeznaczyć i tym sposobem pierwsze papierowe pieniądze w Polsce były drukowane na papierach czerpanych. Jak podano, „w filigranie albo Baranka albo Polskiego Orła z Litewską Pogonią napis Jeziorna połączył". Zmieniali się właściciele. Dopiero po 1811 roku czerpano papiery stemplowe i 29 maja 1812 roku kolejny właściciel, Samuel Bruschke, otrzymał dla powiększonych zakładów w Jeziornie tytuł „Fabryki Królewskiej Papieru". Trawią fabrykę trzy kolejne pożary. Józef Krzyczewski, kapitan wojsk napoleońskich ożeniony z dziedziczką fabryki, 23 sierpnia 1830 roku sprzedał papiernię hrabiemu Henrykowi Lubieńskiemu występującemu w imieniu Banku Polskiego, który stał się pełnoprawnym właścicielem po zrzeczeniu się przez Kaspra i Teresę Potulickich praw do gruntów, dotychczas dzierżawionych jedynie przez właścicieli fabryki. Najpoważniejszą inwestycją była „sprowadzona z Wiednia w 1834 roku maszyna do wyrobu papieru „bez końca". W 1838 roku zakupiono w Anglii drugą maszynę. Rozkwit i unowocześnienie zawdzięczała fabryka nowemu nabywcy – Bankowi Polskiemu, i jego ogromnym wkładom kapitałowym oraz sprowadzeniu z Francji doskonałego specjalisty Gabriela Planche, który spełnił oczekiwania, wykazując się technicznymi i kierowniczymi umiejętnościami. Większość budynków wtedy zbudowanych służy fabryce do dziś, mimo że są przestarzałe. Fabryka zatrudniała stu trzydziestu sześciu stałych pracowników oraz trzystu pięćdziesięciu dorywczych. Majstrowie byli z pochodzenia Niemcami i Czechami. Od 1830 roku Bank Polski „kazał majstrowi dodatku do każdej pensji dopłacać za każdego ucznia Polaka dziesięć talarów, a dwadzieścia talarów za wyzwolenie takiego ucznia". Sprzedaż i zyski stale rosły. Do roku 1843 papiernia w Jeziornie nie miała w kraju konkurenta. Wkrótce zatrudniała już dwustu robotników. Zaspokajano potrzeby krajowe, rósł eksport. Po piętnastu latach mądrego i skutecznego zarządzania w roku 1880 Gabriel Planche wyjechał do Francji. Zastąpił go gruntownie we Francji wykształcony w naukach technicznych Henryk Segno. Był on wnukiem koniuszego króla Stanisława Poniatowskiego.

W 1867 roku Bank Polski zbudował na terenie osady szpital na 12 łóżek. Chorzy pozostawali pod opieką miejscowego „chirurga". Fabryka zatrudniała też lekarza, który dojeżdżał z Warszawy. Szpital został rozebrany 1931 roku. Przypominam sobie parterowy, płaski, przysadzisty, brązowo-szary drewniany budynek szpitala, którego tył sięgał odkrytego rowu ze spływającymi fekaliami i biegł wzdłuż niego jakieś trzydzieści metrów od naszego wychodzącego na wschód kuchennego okna. Wrastający w ziemię, rozlatujący się niemal, ale wciąż użytkowany drewniak w dalszym ciągu nazywano szpitalem, mimo że w latach trzydziestych nie było już w nim chorych, tylko mieszkały tu rodziny fornali. Budynek był ustawiony frontem do głównej drogi. Po trzech skrzypiących, próchniejących schodkach wchodziło się do ciągnącego się wzdłuż całej ściany podcienia, gdzie stały sosnowe stoły i wygodne ławy. W zasadzie to był wspólny salon. Tu toczyło się intensywne życie społeczne. Pod szerokim na trzy metry zadaszeniem chroniącym przed skwarem i zawieruchą zawsze było pełno siedzących pod ścianą żon fornali z dziećmi i staruszków. Prawdopodobnie budowniczy szpitala chciał zapewnić rekonwalescentom naturalne atrakcje. I wtedy, i w moich czasach nikt, kto szedł do papierni albo do kogoś z osady, nie mógł pozostać niezauważony. Doskonały punkt obserwacyjny. Mnie co innego szczególnie utkwiło w pamięci. Przed oczyma widzę szczury obserwowane z okna w kuchni. Ogromne, szaro-brązowe, zwłaszcza w nocy wypełzały z pełnej fekaliów wody płynącej rowem wzdłuż tylnej ściany dawnego szpitala. Mnóstwo ich biegało także w dzień. O ich obecności świadczyły drażniące ucho piski, rumor i migające, czerwone światełka odbite od ich oczu. W czasach mojego dzieciństwa wiekowy, rozpadający się, zamieniony na mieszkania dla fornali budynek nie przynosił chluby osadzie.

W 1887 roku Bank Polski sprzedał papiernię w Jeziornie w drodze licytacji. Kupiła ją Spółka Akcyjna „Mirkowka Fabryka Papieru", której udziałowcami byli bankier Leopold Kronerberg i właściciele Domu Handlowego S. Natanson i Synowie. Od 1887 roku papiernią kierował Edward Szeliga Natanson. Właściciele Natansonowie byli

jego wujami. On był drugim synem wybitnego warszawskiego lekarza Ludwika Natansona, założyciela „Tygodnika Lekarskiego". Do 1927 roku pełnił funkcję wiceprezesa. Nie był uwikłany politycznie. Nie mówił, że trzeba coś zrobić, tylko to robił. Miał wizję, wrażliwość społeczną. Był mężem opatrznościowym dla naszej małej społeczności pracowników i członków ich rodzin, w większości analfabetów, prymitywnych, niemających żadnych szans zdobycia podstawowego wykształcenia, z których tylko nieliczni mogli się pochwalić umiejętnością pisania i czytania zdobytą w wiejskich dwuklasowych szkółkach w Łęgu, Konstancinie, Jeziornie czy w Bielawie. Do niedawna okolicznym chłopom dał pracę, chleb, mieszkania z czystą wodą, a w końcu w 1905 roku wspaniałą prywatną szkołę fabryczną. Dzieci nie tylko pracowników, ale również okolicznych chłopów uczyły się w imponującej, obszernej, widnej szkole, która spełniała wszelkie wymogi przez pięćdziesiąt jeden lat. Moja matka, ja, moi synowie też się w niej uczyliśmy i mile, z rozrzewnieniem ją wspominamy. Wyróżniającym się dawał bodziec do dalszego kształcenia. Nigdy nie mogłem uwierzyć, że tego typu ambitne, wszechstronne działania były zasługą zamożnego, ale niezwykle skromnego człowieka. Nadto trzeba dodać niekatolika. W mojej ocenie był według kryteriów współczesnych lewicującym liberałem. Gdyby był przywódcą partyjnym, a już gdyby z takim samym zapałem machał szabelką, na pewno zostałby ogłoszony lokalnym sztandarowym bohaterem narodowym. Jednak dla naszej maleńkiej społeczności pozostał w moim odczuciu człowiekiem cichym, skromnym, prawym, nadzwyczajnym, niezwykłe zasłużonym, ale niedostrzeżonym i niedocenionym.



Festyn w Mirkowie. Początek XX w. Zdjęcie ze zbiorów Danuty Cechnickiej.

Wraz z rozbudową papierni rozrastała się też osada dla pracowników. Robotnikom „fabryka najmuje mieszkania we wsi Jeziorna będącej własnością obywatela Ludwika Rossmana". Do końca XIX wieku wybudowano cztery murowane piętrowe domy robotnicze i jeden bardziej okazały, w którym zamieszkali urzędnicy. W 1908 roku dyrektor Edward Natanson zbudował między Klarysewem a Mirkowem, przed mostem na rzece Jeziorce, jeszcze cztery duże, dwupiętrowe domy z komórkami i piwnicami. Na każdym poziomie były cztery mieszkania jedno- i dwupokojowe. Jeziorna nie miała wtedy ani jednego podobnego, murowanego dwupiętrowego domu. Osiedle nazwano Porąbką lub od imienia dyrektora Edwardowem. Pracownicy nie płacili za mieszkanie, za elektryczność ani za węgiel w ilości sześciuset kilogramów zimą i trzystu latem. Wczorajsi chłopi, a szczególnie ich żony, nie

umieli żyć bez możliwości składowania węgla i drzewa. Kierowani nawykiem bardzo często hodowali króliki (ja także). Co poniektórzy nawet świnie. W piwnicy każda gospodyni musiała mieć przygotowane na zimę pokaźne beczki kapusty i ogórków kiszonych, ziemniaki i warzywa.

Mieszkania nie miały wygód. Wodę czerpano z dwu solidnych studni. Była też ogólnodostępna łaźnia z prysznicem. Urzędnicy mieli swoją, płatną pół złotego za umycie bielidłem wanny po każdym użytkowniku. Między blokami, na środku, stał murowany publiczny wychodek sprzątany codziennie przez kulawego pana Rytkę. Z jednej strony było wejście dla kobiet, z drugiej dla mężczyzn. W ubikacji każdy kucał wygodnie nad okrągłym otworem. Oddzielony od sąsiada cienkim, betonowym murkiem, z przodu niestety był widoczny. Trzeba pamiętać, że mój opis dotyczy asenizacji przed siedemdziesięciu lat. Wtedy nawet w Warszawie nie wszystkie domy były podłączone do tworzącej się dopiero kanalizacji i jednym z podstawowych problemów, szczególnie na nowo powstających ulicach, było pozbywanie się fekaliów. Na ulicy Puławskiej każdej nocy było słychać miarowy stukot kopyt i „wiooo" woźniców zachęcających konie do truchtu. Beczkowozy opróżniające szamba do rana kursowały w kierunku Piaseczna. Domy na Porąbce stopniowo zmodernizowano dopiero latach 1955-60. W blokach do mieszkań na każdym piętrze doprowadzono bieżącą wodę, zamontowano wanny, ubikacje. Od strony drogi w 1955 roku wybudowano dwa nowe piętrowe domy z mieszkaniami po dwa pokoje z kuchenką, z wygodami. Edwardów dorobił się również parterowego sklepiku z wejściem od ulicy.



Mirków. Budynek dawnej szkoły. Początek XX w. Zdjęcie ze zbiorów Danuty Cechnickiej

Pracownicy Mirkowskiej Fabryki Papieru w Jeziornie byli przyzwoicie wynagradzani. Mieli doskonale zaopatrzony fabryczny sklep, w którym mogli kupować na kredyt, dostęp do fachowej pomocy lekarskiej w istniejącym od 1867 roku szpitalu, w przychodni całodobowy dyżur pielęgniarki. W czasach, gdy byłem dzieckiem, w przychodni przyjmowali dwaj lekarze interniści, dwaj dentyści, jedna położna dla urzędników i druga dla robotników. Zbudowano bibliotekę, kino, garkuchnię dla robotników, klub dla urzędników, „Babiniec" dla emerytowanych pracownic, Dom Ludowy, kościół rzymsko¬katolicki, otwarto Kasę Stefczyka. Przy fabryce działał prężnie Robotniczy Klub Sportowy „Mirków". Miał kilka sekcji, wśród nich drużynę piłkarską i złożoną z urzędników i robotników sekcję teatralną. Dzieci miały przedszkole, starsze siedmioklasową szkołę powszechną, wspaniałą, o standardzie europejskim. Otwarta w 1905 roku prywatna szkoła powszechna fabryki „Mirków" była imponująca. W piętrowym murowanym budynku, przestrzenna, z obszernym boiskiem, zelektryfikowana, z wydzielonym wygodnym mieszkaniem dla kierownika szkoły. Miała tylko ogrzewanie piecowe, kanalizację założono w 1930 roku. Nie wiem, czy w tym czasie istniała w Polsce szkoła o podobnym standardzie, porównywalna placówka

nauczania podstawowego, która mogłaby z nią konkurować.

Mieszkańcy osady z rodzinami, do wczoraj jeszcze żyjący na wsi dość prymitywnie, w chałupach bez wygód, bez szansy na zdobycie wyższej pozycji społecznej, jako pracownicy fabryki prezentowali przeciętnie o niebo wyższy poziom odżywiania, ubierania, nawyków życia towarzyskiego, potrzeb osobistych, kulturalnych i społecznych w porównaniu ze zwyczajami i nawykami, jakimi żyli w otaczających wsiach chłopi. W ciągu kilku lat, niepostrzeżenie, przemieniali się w wykwalifikowanych papierników. Co zdolniejsi sięgali po tytuł czeladnika, a nawet mistrza papiernika. Inni przyuczali się do zawodów elektryka, stolarza, modelarza, kotlarza, o których wcześniej tylko słyszeli. Stawali się niezastąpionymi, zręcznymi rzemieślnikami. Dla wielu papiernia była jedyną możliwością rzeczywistego awansu społecznego. Zmieniał się ich sposób myślenia, zmieniały potrzeby, zainteresowania, a ułatwiało im to otrzymanie mieszkania w osadzie. Mieli ambicje, by wykształcić swoje dzieci. Rozbudzone aspiracje rodziców wyrażały się często w rzeczywistych osiągnięciach dzieci zdobywających średnie, a nawet wyższe wykształcenie. Zmieniała się mentalność przeciętnego mieszkańca osady. Przynależność klasowa była prosta. Pracownicy dzielili się na „miesięcznych" – kadrę kierowniczą, i „dwutygodniowych" – robotników. Dzieci w odróżnieniu od dorosłych nie przestrzegały rygorystycznie żadnych reguł towarzyskich. Z rana można było jeszcze po ubrankach rozróżnić ich urzędnicze czy robotniczo-chłopskie pochodzenie. Po gonitwie, po prostych, niewyszukanych zabawach wracały wieczorem jednakowo umorusane, czasem zabłocone, z otartymi kolanami, ledwie żywe, zbratane dziecinnymi, wspólnymi przeżyciami. Dzieci nigdy nie miały oporów w nawiązywaniu przyjaźni na boisku, w czasie zabawy, w szkole, w kościele. Nasza mała społeczność w sposób naturalny oddziaływała na okolicę. Podobną rolę odgrywali dochodzący do pracy w papierni chłoporobotnicy. Czułem się dumny, jakby wyróżniony, że jestem mieszkańcem osady. Tak samo jak łodzianin, warszawiak i krakowianin, zakochany w swoim mieście, związany z nim lokalnym patriotyzmem.

W osadzie ulice były utwardzone leszem, który był produktem odpadowym, ponieważ elektryczność fabryka uzyskiwała z turbin napędzanych węglem. Trotuary wyłożono cementowymi płytami. Droga z Klarysewa przez Porąbkę (Edwardów) do fabryki, czterometrowej szerokości, była wybrukowana kocimi łbami, od strony Bielawy biegły szyny drezyny. Za mojego wczesnego dzieciństwa osada mogła się pochwalić siedmioma jedno- i dwupiętrowymi murowanymi blokami robotniczymi, urzędnicy mieli dwa. Dwie ubikacje publiczne, łaźnia, pralnia i magiel, potężny neogotycki budynek zwany Kasą Chorych, kino dźwiękowe, osiedlowa piekarnia, dwa duże sklepy spożywczo-kolonialne z wydzielonymi działami galanteryjno-papierniczo-mydlarskimi, dwa sklepy mięsno-wędliniarskie oraz mały sklepik warzywno-owocowo-nabiałowy. W centrum osady był kiosk z prasą. W budynku Kasy Chorych, na parterze, mieściły się obszerna apteka, gabinety lekarskie i gabinet dentystyczny oraz ambulatorium niezawodnej pielęgniarki pani Remani pełniącej stały całodobowy dyżur. Na piętrze były wygodne mieszkania lekarza fabrycznego doktora Jana Gutkowskiego (zamordowanego w Katyniu) i zacnego magistra Zielińskiego, aptekarza. Jego jedynaczka Halinka zdawała ze mną maturę w Rejtanie w 1945 roku. Pamiętam, że od zawsze mieli ujadającą bez przerwy na balkonie jazgotliwą ratlerkę, zabawną suczkę Petronelkę.

Na terenie osady był „Babiniec", dom wysłużonej, samotnej robotnicy. Drewniany, piętrowy, otoczony niewielkim ogródkiem pełnym kwiatów. O krok od magla, pralni i łaźni. Po wejściu do obszernej sieni „Babińca" pełnej kręcących się po niej rozgadanych staruszek szło się dalej po szerokich, skrzypiących schodach na wyciszone pięterko, gdzie w takich samych jak na parterze dwuosobowych klitkach mieszkały żwawe jeszcze, żywotne współlokatorki. Zwykle cały dzień, jeśli dopisywała pogoda, były nieobecne. Nadrabiały towarzyskie życiowe zaległości.

W niewielkiej odległości od „Babińca", tuż przy żelaznej bramie, w odległości dwustu metrów od przysadzistego budynku Dyrekcji stał potężny, murowany, pomalowany na biało dwupiętrowy „Bristol" z mieszkaniami dla emerytowanych robotników. Pierwotnie do budynku nie było wejścia od strony Dyrekcji. Na piętra prowadziły zewnętrzne, niczym nieosłonięte, szpetne żelazne schody przyczepione trwale do południowej, krótszej ściany. Pod nimi znajdowały się drzwi do mieszczącej się na parterze obszernej kuchni wydającej trzy razy dziennie posiłki „babkom", mieszkankom „Babińca". Na każdym piętrze wprost ze schodów wchodziło się do szerokiego korytarza biegnącego przez całą długość domu, a z niego do uszeregowanych po obu stronach czterech jednakowych pokoików zamieszkanych przez samotnych mężczyzn, niezdolnych już do pracy, wysłużonych papierników. Korytarz był wspólną własnością, przymusowym miejsce spotkań, salonem wszystkich pensjonariuszy pięterka. Tu zdawali egzamin ze współżycia, z dojrzałości społecznej. Później zbudowano dzielącą budynek w połowie długiej osi wewnętrzną klatkę schodową z prostymi, szerokimi, niewygodnymi schodami, a dom przeznaczono na mieszkania dla pracowników. Dopiero niedawno Rysio Piotrowski, mój rówieśnik i fryzjer od dzieciństwa, wyjaśnił mi, skąd się wzięła nazwa „Bristol". Otóż pokoiki były oddzielone

cienką ścianką zrobioną z brystolu odpadowego, z wybrakowanego „auszusu". Jest to rodzaj grubego papieru produkowanego na użytek malarzy, rysowników, uczniów. Między grubymi, glansowanymi, sklejonymi parokrotnie arkuszami, w niewielkiej przestrzeni szerokości około piętnastu centymetrów ubite były trociny, odpadowy produkt ze stolarni, zmieszane dokładnie z wapnem lasowanym. Materiał budowlany użyty do wykonania ścianek działowych można porównać do współczesnej supremy. Wyjątkowo tani, lekki, ale niezapewniający intymności. Każdy szmer, każde słowo wypowiedziane głośniej, sprzeczkę z sąsiadem było słychać wyraźnie. Teraz dla mnie stało się jasne, dlaczego w gwarze zwyczajowej dom ten od zawsze był nazywany „Bristolem". Nigdy jednak nie słyszałem od nikogo, co było przyczyną zmiany jego pierwotnego przeznaczenia. Może staruszkowie mieli zasadniczą, podstawową trudność sprawnego pokonywania schodów? „Babiniec" pozostał. Samotne kobiety miały swoją szansę, którą mężczyźni emeryci utracili bezpowrotnie.

Osada fabryczna, Porąbka-Edwardów, szmaciarnia, kanał doprowadzający wodę z „imberfallu" do fabryki, duży staw obok papierni i stawy rybne za fabryką ciągnące się aż do Habdzina i Kłopotowa, mająteczku, gdzie od 1880 roku po zarządzaniu przez piętnaście lat Mirkowem mieszkał inżynier Henryk Segno z rodziną. Razem około trzystu hektarów. Moje miejsce urodzenia jest oddalone od centrum stolicy o siedemnaście kilometrów. Jeśli chciało się dojechać z Warszawy do papierni, trzeba było, jadąc drogą z Powsina, skręcić za budynkiem stacyjnym w Klarysewie w lewo, w prywatną drogę fabryki „Mirków", obecnie naszą ulicę Mirkowską. Po utwardzeniu kocimi łbami drogi z Klarysewa do Mirkowa w czasie, gdy był budowany most na Jeziorce koło szmaciarni, dyrektor inżynier Stefan Nowicki postawił przy wjeździe w Klarysewie do Mirkowa szlaban i emeryta, który za objazd przez osadę fabryczną do Konstancina pobierał od każdego samochodu myto jeden złoty. Za uzbierane pieniądze wydatnie wsparł uroczyście otwartą w 1926 roku piękną szkołę podstawową we wsi Opacz. Wisząca nad frontowymi drzwiami tablica wymienia wśród innych i jego nazwisko i przypomina potomnym: „Dzieci, zachowajcie te nazwiska we wdzięcznej pamięci. 1923 – Opacz – 1925". Szkoła jest użytkowana do dziś. Nie wszyscy wiedzą, jak zasadniczą, pozytywną rolę odegrał dyrektor Stefan Nowicki w zbudowaniu bardzo jak na owe czasy nowoczesnej, piętrowej, widnej szkoły o przestronnych klasach.

Fabrykę wyróżniał wybudowany w 1906 roku potężny, widoczny z daleka czerwony komin górujący nad zabudowaniami rozrastającymi się z czasem na uboczu, wśród podmokłych łąk i stawów. Podróżny jadący do Warszawy mógł za półtora złotego skorzystać z autobusu państwowego „Arbon" albo z nie najwyższej elegancji prywatnego, rodziny Paulinków ze Skolimowa, za osiemdziesiąt groszy.

Z Góry Kalwarii przez Piaseczno, Chylice, Konstancin, Klarysew, Jeziornę, Powsin, Powsinek, Wilanów, Fort Czerniakowski, wzdłuż Jeziorka Czerniakowskiego, przez Wójtówkę, Marcelin, Promenadę, Belweder aż do Ronda Keksholmskiego (obecnie plac Unii Lubelskiej) biegła linia Warszawskiej Kolei Dojazdowej. WKD było słychać z daleka. W trzecim wagoniku była w zimę na środku ustawiona koza opalana węglem. Nawet najbardziej zmarznięty mógł się nie tylko ogrzać, ale również osuszyć. Po prawej stronie torów, gdy patrzyło się od strony fabryki, widać było szyny prywatnej kolejki wąskotorowej, którą przez Klarysew dowożono masę towarową do Mirkowa i wywożono papier. Z fabryki skład ciągnął mały parowozik. Ten sam parowóz rano, w południe i wieczorem ciągnął też „drezynę", otwarty od ulicy wagonik z ławkami. Drezyna z maleńkim parowozikiem, zastąpionym z czasem przez wypasionego perszerona, którym powoził woźnica Kuźba albo Uliński, odwoziła rano do stacji WKD w Klarysewie i wieczorem przywoziła z powrotem młodzież uczącą się w szkołach średnich w Warszawie oraz pracujących w stolicy mieszkańców osady. Dojeżdżający doceniali wygodę, szczególnie w czasie mrozu, zawieruchy, śnieżycy, deszczu. Otwarty wagonik dzieci wiózł bezpłatnie, dorośli płacili za bilet pięć groszy, które z całą powagą inkasował woźnica z przewieszoną przez ramię solidną, czarną, skórzaną torbą. Na stacji WKD do dziś stoi ten sam budynek z ogromnym napisem „Klarysew". Wtedy kasę i bufet z poczekalnią obsługiwały dwie stare panny. Jedna z nich na dziesięć minut przed przyjazdem pociągu otwierała kasę i sprzedawała bilety. Druga siostra oferowała oczekującym herbatę, kanapki, śledzika, wypieki, latem napoje, a zimą zmarzniętym znajomym „kieliszeczek" spod lady. Obszerna poczekalnia nie była ogrzewana. Doskonale pamiętam reklamy wiszące na ścianie: „Jak się pobierzem, to się Okocim, „Mydło z wieżą, wszyscy w nie wierzą" (Schicht), a także plakat, na którym mały, śmieszny chłopczyk jechał na oklep na żebrze, dźwigając na barkach przeogromną czekoladę Sucharda.

Trudno wyobrazić sobie opis osady fabrycznej bez powiązania z Jeziorną, nazywaną Jeziorną Bielawską albo Królewską, która należała do Ludwika Rossmana. Tereny wiejskie o powierzchni sześciu tysięcy hektarów obejmowały wsie: Bielawę, Kiszkę, Oleszyn, Kępie, Okrzeszyn, Kierszek, Kępę Oborską, Kępę Okrzeską, Opacz, Habdzin, Łęg, Czemidła, Ciciszew, Turowice, Dębówkę, Solec, Kawęczyn, Słomczyn, Wierzbno, Podłęcze, Skolimów, Chylice, Obory, Łyczyn, Jastrzębie. W skład folwarku Jeziorna Królewska wchodziły wioski: Bielawa,

Kępa, Kiszka, Oleszyn. Część Jeziorny bliższa Obór nazywała się Jeziorna Oborska i należała do hrabiów Potulickich. Jeziorna Fabryczna, to jest osada fabryczna, stała się formalnie dzielnicą Jeziorny dopiero w 1887 roku. W tym czasie miała razem z Habdzinem i Łęgiem 824 mieszkańców.

Rzeka Jeziorka dawała papierni niezbędną do produkcji wodę, szmaciarnia, czyli tak zwana górna fabryka, leżała tuż, tuż – graniczyła z „miastem". Gdy patrzyło się z mostu zgodnie z biegiem Jeziorki, dzisiaj płynącej spokojnie między potężnymi wałami, po lewej stronie widać było pastwisko położone między obecną ulicą Fabryczną a korytem rzeki. Mieszkańcy nazywali ten teren Błotnicą. Wczesnym rankiem chłopi z całej Jeziorny spędzali tam krowy, które pastuch z dwoma psami przepędzał na prawy brzeg, na wysokości ulicy Krzywej. Właściwe gromadzkie pastwisko było po prawej stronie rzeki. Rozległe, nigdy nierekultywowane, ciągnęło się od Jeziorny aż do osady fabrycznej. Trzymetrowy, potężny mur biegł od szmaciarni równoległe do kanału, którym płynęła woda niezbędna do produkcji papieru. Przed osadą mur skręcał w kierunku kanału. Zamykał w ten sposób prostokąt, chroniąc posiadłość właścicieli – Natansonów. Jak sięgam pamięcią, na starej, samotnej, wiekowej topoli, przy której mur zakręcał, od zawsze było bocianie gniazdo. Dlatego pierwszy dwupiętrowy dom nazywał się „bocieniec". Głęboki rów oddzielał pastemik od osady. Bywało, że krowy czasem go przeskakiwały. Wtedy pętały się między domami i dopóki pastuch nie przegonił ich z powrotem do stada, były niecodzienną atrakcją dla dzieciaków osady. Bydło pasło się od rana niezmiennie najpierw wzdłuż rzeki, potem zgodnie ze wskazówkami zegara przesuwało się bliżej osady, żeby po południu wzdłuż muru Natansona, skubiąc ubogą trawinę, powoli zbliżać się do brodu. Patrząc na pasące się krowy, można było dokładnie określić godzinę, ponieważ bydło potrzebowało całego dnia, aby wieczorem znów przeprawić się przez rzekę. Krowy pokonywały bród przed przerzuconą trzysta metrów od mostu kładką, która służyła pieszym chcącym przedostać się do Jeziorny przez pasternik lub pracownicom wracającym ze szmaciarni. Błotnica widoczna z mostu była biała, od rana do wieczora pełna gęsi i kaczek. Tylko rano zmyślne ptaszyska przepędzane przez krowy czmychały do rzeki na poranną toaletę i śniadanko.

Po prawej stronie rzeki szmaciamię oddzielał i zasłaniał szczelnie masywny, gruby czterometrowy mur, który otaczał cały teren tak zwanej górnej fabryki. Szmaty były tam sortowane, miażdżone, rozdrabniane na rosyjskich maszynach z połowy XIX wieku. Z głównej fabryki papieru dowożone je wzdłuż kanału po wąskich szynach w malutkich, śmiesznych wagonikach ciągnionych przez perszerony. Szmaty w zależności od rodzaju były dodawane do wyrobu lepszych gatunków papieru. Tylko w 1836 roku Papiernia Bankowa w Jeziornie zużyła trzy tysiące cetnarów szmat. Ze względu na ich ciągły niedobór już w 1843 roku zarząd fabryki zwracał się wielokrotnie z prośbą do Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych o udzieleni przywileju zbierania szmat w całym kraju. Na Błotnicy, na wysokości szmaciarni, między starymi wierzbami stał podest mierzący osiem na osiem metrów, zbudowany z grubych, nieheblowanych desek sosnowych, otoczony półtorametrową balustradą. Było to tak zwane dechy, miejsce świątecznych potańcówek. Przy sprzyjającej pogodzie w każdą niedzielę i święto tańczyło się przy dwu- lub trzyosobowej orkiestrze. Od zmroku do późnej nocy, za groszową opłatą. Atmosfera była odpustowa, ludowa, radosna, młodzieżowa. Zarówno tańczący, jak i gapie bawili się z reguły spokojnie i beztrosko.

Jeziorna była typową podwarszawską mieściną w Kongresówce. Według spisu w Archiwum Państwowym miasta stołecznego Warszawy, oddział w Górze Kalwarii przy ulicy ks. Zygmunta Sajny numer 1, w tomie VI, w „Rejestrze mieszkańców stałych gminy Jeziorna w latach 1932-1939" figurowało w Konstancinku-Jeziornie 455 Żydów. Co czwarty mieszkaniec w naszym mieście był Żydem. Sklepikarze, domokrążcy, skup koni, świń, bydła, rzeźnicy, szewcy, krawcy, piekarze, fryzjerzy, zegarmistrzowie, złotnicy, adwokaci, lekarze, dentyści, bankierzy i drobni paserzy to były zawody opanowane w większości przez Żydów.

Po drugiej stronie obecnej ulicy Fabrycznej, na wzgórku, w pobliżu ulicy Krzywej znajdowała się drewniana, parterowa żydowska synagoga, inaczej zwana bożnicą. Od otaczających ją wokół drewnianych biedadomków różniła się tylko wielkością. Kilkanaście metrów od ubogo prezentującego się domu modlitwy stał równie stary, drewniany, ale okazały jednopiętrowy dom Abrama (Arona) Kenigsteina, jednego z najbogatszych Żydów Jeziorny, który zamieszkiwał tu z żoną i ośmiorgiem dzieci. Na rogu ulic Warszawskiej i Bielawskiej, naprzeciwko spółdzielni „Świt" miała swoje mieszkanie i sklep żelazny Majorkowa. Utarło się, że Żydówkę nazywano od imienia męża. Za nią mieli bławatne minisklepiki Josek i Haskiel. Wchodziło się do tych sklepików z ulicy po trzech ledwie trzymających się razem, butwiejących drewnianych schodkach. Tylko ta strona ulicy była zabudowana. Miał tu dom Szumacher, w głębi był jego skład desek i tarcicy. Dalej były piekarnia i sklep Gągolewskiego sąsiadujący z domem Arona, handlarza końmi. Za domem, w głębi podwórka były jego komórki i stajnie. Dopiero za stajniami stał nowy, parterowy, murowany budynek z kopertowym dachem – żydowska

mykwa. Za podwórkiem Majorkowej i składem desek Szumachera została zbudowana na początku lat trzydziestych nowa synagoga. Był to nieotynkowany, murowany, parterowy budynek o wymiarach dziesięć na dziesięć metrów, zdecydowanie wyróżniający się z otoczenia. Nie wiem, czy w pozostałych dzielnicach Jeziorny były inne żydowskie domy modlitwy. Ja znałem tylko te dwa. Wtedy, jako dziecko, nigdy jeszcze nie byłem w synagodze.

Także w każdej większej okolicznej wsi był Żyd, miał mnóstwo dzieci i biedasklepik, w którym można było kupić chleb, sól, naftę, zapałki, wódkę w ćwierćlitrowych butelkach i w malutkich buteleczkach, dziś nazywanych „małpkami", cukierki, nici, czasami nawet cukier. Bywało, że Żyd był przyjmowany w polskim domu jak przyjaciel. Natomiast Żydzi do siebie zapraszali raczej powściągliwie. Obserwowałem serdeczne, trwałe przyjaźnie między dzieciakami, młodzieżą. Stosunki były poprawne. Zdarzały się wybryki, nawet dokuczliwe psikusy wynikające z braku społecznych zainteresowań czy bezmyślności podrostków, niemające jednak nic wspólnego z nienawiścią plemienną, z bestialstwem. Nie spotykałem się z ksenofobią, gorszącą nienawiścią. Cieszy mnie to do dziś. Jeziorna również w czasie okupacji mogła się pochwalić brakiem donosicielstwa. Może szmalcownicy chowali się skutecznie, głęboko?

Między Edwardowem a Klarysewem, tam, gdzie obecnie po obydwu stronach drogi są wille, było pole zasiane zbożem. W miejscu, gdzie dziś jest dom mojego syna Krzysia, po żniwach stał dwupiętrowy stóg, na który wdrapywaliśmy się z niemałym trudem, żeby potem brawurowo zjeżdżać na spodniach, póki nie przegonił nas nadjeżdżający na koniu rządca z Bielawy. Cały teren, dziś znany pod nazwą Nowa Jeziorna, w czasach mojego dzieciństwa zajmowały grunty rolne. W dwudziestoleciu pracownicy fabryki, którzy żyli oszczędnie i nie przepijali zarobków, pokupowali z dóbr bielawskich działki po dwa tysiące osiemset osiemdziesiąt metrów. Większość pobudowała nawet jednorodzinne domki.

Jadąc z Warszawy do Mirkowa przez Wilanów i Powsin, można było skręcić w Klarysewie w lewo, w naszą dzisiejszą ulicę Mirkowską, lub pojechać dalej przez Jeziornę, przez most na Jeziorce, a za szmaciarnią, obecnie Starą Papiernią, ponownie skręcić w lewo i wzdłuż kanału dojechać do fabryki. Kanał doprowadzał do fabryki wodę. W tym miejscu jest obecnie aleja Wolska Polskiego. Bliżej szmaciarni znajdowały się cztery zarybione stawy ze stawidłami. Stanowiły rezerwę wody niezbędnej do produkcji. Obok fabryki również był duży staw i między nim a wsią Habdzin jeszcze cztery podobne. Odpowiedzialny za zaopatrzenie fabryki w wodę był pan Fuszara. Miał stawidłowego Kubanka, ojca mojego szkolnego kolegi Genia. Wtedy byłem przekonany, że niski, wąsaty pan Fuszara był opłacanym przez fabrykę „rybakiem" odpowiedzialnym za gospodarkę rybną. Okazuje się, że było to jego zajęcie drugorzędne. Przede wszystkim miał dbać o stałe dostarczanie do fabryki wody, bez której musiałaby stanąć produkcja. Pan Fuszara był amantem Lodzi Korytkówny, ukochanej cioci mojego rówieśnika i przyjaciela Zbyszka Piątkowskiego. To dlatego te nazwiska utkwiły w mej pamięci. Za stawami, wzdłuż drogi, ciągnęły się aż do Habdzina zajmujące osiemdziesiąt siedem hektarów rozległe łęgi oborskie. Na miejscu stawów przy szmaciarni jest dziś targowisko czynne w środy i w soboty. Za moich czasów przy wejściu stał schludny, murowany domek. Mieszkał w nim kierownik szmaciarni Dumin albo Dominik Płotka, stryjeczny brat mojej matki. Dalej w kierunku Grapy, tam gdzie obecnie jest stawek cały rok pełen dzikich kaczek dokarmianych przez dzieci, stał drewniany, schludny domeczek zamieszkany przez głównego elektryka pana Kłodzińskiego. Po 1945 roku mieszkał w nim pan Chojnowski. Jego syn Teodor miał żonę Krystynę, kierowniczkę przedszkola, i wnuka. Byli moimi pacjentami. W kierunku południowym, w odległości dwustu pięćdziesięciu metrów, były dwa drewniane biedadomy, tak zwane dworskie. W pierwszym, parterowym, z „facyjatami", zawsze było mnóstwo dzieci. Mieszkali tam Kubankowie, rymarz Obzejta, Latoszkowie i kochany Kuranowski, który był obmacywaczem w „celibudzie" i bileterem w fabrycznym kinie. Czasami wpuszczał nas, dzieci, bez biletu. Obok domu stały czarne komórki kryte gontami. W drugim maleńkim biedadomku mieszkał przez wszystkich znany „Manu-Manu", Marian Fabisiak, żyjący chyba z przyzwyczajenia. Od urodzenia upośledzony, mówił niezrozumiale. Starszy był ode mnie o dziesięć lat. Miał stałe zajęcie – dostarczał codzienną prasę właścicielce kiosku z gazetami w osadzie. Był tam jeszcze był trzeci dom, willa „Pod Małpami", położony bliżej szmaciarni, zamieszkany przez dwie stare panny. Po żadnym z tych domów nie ma śladu. Rozebrano je w latach trzydziestych.

Jeziorna w 1966 roku miała 56 gospodarstw i 140 krów. Każdy trzymał ptactwo domowe. Nad Jeziorką wielu hodowało kaczki i gęsi. Na Argentynie w pewnych rodzinach zwyczajowo trzymano kozy. Bydło pasło się na łąkach gromadzkich, na pastemiku między Jeziorną a Mirkowem. Podobne stosunki co do pogłowia bydła, trzody chlewnej i ptactwa domowego panowały w okolicznych wsiach. Znikło stado bielawskie, „szlachtuz" (Schlachthaus) Kenigsteina po wojnie kupiło INCO i mieściła się w nim Fabryka Wyrobów Precyzyjnych, dziś dogorywająca. Po kupnie przez fińską firmę w roku 1996 Warszawskich Zakładów Papierniczych, dawnej fabryki

papieru „Mirków", liczba zatrudnionych spadła z dwóch tysięcy trzystu do czterystu osób. Zlikwidowano pięćset sześćdziesiąt miejsc w ośrodku wczasowym w Łebie, trzysta miejsc w Wildze. Nieczynne są hala sportowa i basen kąpielowy, hotele żeński i męski na sto czterdzieści miejsc, stołówka, która wydawała rocznie sto czterdzieści tysięcy obiadów i dwadzieścia sześć tysięcy posiłków regeneracyjnych, świetlica, kino zakładowe. Żłobek i przedszkole przejęły funkcje ogólnospołeczne. Senator Kosowski, piłkarz i mieszkaniec Edwardowa (Porąbki), założył młodzieżowy klub „Kos". Przychodnia lekarska została sprywatyzowana. Miasto ma trzy domy kultury z dobrze zorganizowanymi bibliotekami. Osiedla mieszkaniowe na Grapie, na dawnym pastemiaku rozrosły się do liczby trzydziestu osmiu domów, w fabryce powstały cztery domki fińskie i jedenaście ogromnych bloków. Od lat sześćdziesiątych dwieście działek pracowniczych obok osady i na Grapie przeznaczonych jest na ogródki działkowe. Proboszcz ma dom obok kościoła. Przed 1939 rokiem w Jeziornie nie mieszkał żaden lekarz medycyny. Obecnie są cztery ośrodki zdrowia, liczne prywatne lecznice ogólne i specjalistyczne. Wśród lekarzy krąży list z zachodniej Europy do profesora Mariana Weissa, następcy założyciela „Stoceru", adresowany: „Polska koło Konstancina". Można by wnioskować, że Stołeczne Centrum Chirurgii Kostnej, sanatoria neurologiczne, kardiologiczne, reumatologiczne czy wspaniale rozbudowane ostatnio Centrum Kształcenia i Rehabilitacji na Królewskiej Górze zwracają większą uwagę niż unikatowa architektura. Zaraz po wojnie Jeziorka została zabezpieczona wysokimi wałami przeciwpowodziowymi. W 1978 roku w prosty, a skuteczny sposób fabryka stworzyła w dawnych stawach rybnych leżących przy drodze do Habdzina oczyszczalnię biologiczną, która jako pierwsza rozpoczęła walkę o czystą wodę dla Warszawy. Miasto dba o sieci elektryfikacyjną, wodociągową, kanalizacyjną i asenizacyjną i stale je rozbudowuje. W zasadzie wszyscy mieszkańcy miasta mają czystą wodę.

Nie uświadczysz już u nas stelmacha, cholewkarza, siodlarza, kowala, kołodzieja, bednarza, rzeźnika-wędliniarza, rymarza, kaletnika, młynarza ani hycla. Zanikają zawody krawca i wikliniarza. Pojawili się elektronik, komputerowiec, dawny buchalter-księgowy ogłasza się jako prowadzący „biuro rachunkowości". Stary poczciwy murarz czy dekarz ukryci są pod szyldem „przedsiębiorstwo budowlane", którego właściciel, nie zawsze budowlaniec, zobowiązuje się oddać do użytkowania budynek według wymagań zleceniodawcy „pod klucz". Ostali się piekarz, fryzjer i cukiernik. Nie dali się pochłonąć i wykluczyć przez taśmową, maszynową produkcję. Natomiast Ziętek, niezapomniany lodziarz z Habdzina, pozostał jedynie w pamięci takich jak ja staruszków, a mnie podobni, mieszkający na wsi, z łezką w oku wspominają, jak latem, w każdy poniedziałek po południu, rozdawał dzieciakom niesprzedane lody. A dziś?! Słyszę donośny głos z megafonu wolniutko przejeżdżającego ulicami samochodu z zamrażarką. Dzieciarnia tylko na to czeka. Natychmiast pędzi zamienić na loda otrzymaną tygodniówkę.

Zdominowany przed wojną przez Żydów małomiasteczkowy, siermiężny, czasem reprezentowany przez domokrążcę handel po wojnie rozrósł się w powstające jak grzyby po deszczu drobne sklepiki należące do Polaków, obecnie niszczone przez drapieżną konkurencję marketów i supermarketów. Nam, jak sięgnę pamięcią, nosiła codziennie rano na plecach mleko, nabiał i warzywa uboga gospodyni z Łęgu, pani Kucicka. Dzięki znajomościom jeździliśmy też na zmianę z pięciolitrowymi bańkami do Obór po świeże mleko z wieczornego udoju. Zaraz po wojnie do sklepów spożywczych dostarczano pięćdziesięciolitrowe kanwie mleka, z których sprzedawca czerpakiem nalewał klientowi do przynoszonej przez niego bańki. Dziś już mało kto o tym pamięta, kiedy w samoobsługowym markecie sięga po któryś ze stu rodzajów wyrobów mlecznych, serów leżących w zasięgu ręki na ladzie ze stałą temperaturą. A mnie się wydaje, że jeszcze tak niedawno posyłała mnie matka z pustym słoikiem po śmietanę.

W miejsce małych szkół podstawowych powstały duże, widne tysiąclatki. Po wojnie szkolnictwo zawodowe zastąpiono dobrej marki gimnazjami i liceami zawodowym. Przed wojną dwie restauracje w Jeziornie wystarczyły do zaspokojenia potrzeb i gustów mieszkańców. Dziś gubimy się w rozlicznej ofercie wyrafinowanych smaków, których egzotykę nie zawsze do końca rozumiemy i... nie zawsze jej potrzebujemy.

Od siedmiu lat właścicielami papierni są Finowie, „Metsä Tissue" spółka akcyjna. W kartelu papieru w 1931 roku miał „Mirków" trzynaście procent udziału, obecnie ma minimalny. Zatrudnienie wynoszące dawniej dwa i pół tysiąca, teraz to zaledwie trzysta osób! Było trzynaście maszyn papierniczych, obecnie pracują trzy. Totalne dno! Koniec świetności mojego „Mirkowa"!

Proszę więc teraz czytelników, patrzcie na moje życie i na ludzi mi bliskich z sympatią, tolerancją, czasem z przymrużeniem oka.

W czasie zaborów na granicy między Rosją a Prusami, w powiecie wieluńskim nad rzeką Prosną istniała w

Wieruszowie Mirkowska Fabryka Papieru. Właściciele, bankierzy Kronenberg i Natanson, zlikwidowali papiernię. Spółka zakupiła w 1887 roku Jeziornę i sprowadziła do niej część maszyn z zamkniętej fabryki. Razem z maszynami przybyli do Jeziorny mirkowscy papiernicy, mieszkańcy pobliskiego Wieruszowa, Lututowa, Praszki, Wielunia. Wśród nich był mój dziadek Franciszek Płotka.

Wyjaśniam przy okazji, jaka była zależność w pionie technicznym papierni: naczelny, dyrektor techniczny, maszyniści zmianowi. To oni w ciągu ośmiu godzin byli odpowiedzialni za ciągłość produkcji i jakość papieru. Zmianowy w razie najmniejszych wątpliwości podchodził do maszyny, rozcierał masę delikatnie na dłoni między palcami, wąchał, czasem wziął odrobinę na język i natychmiast polecał melarzowi: „Janie, dosypcie do masy sześćdziesiąt wapna i pięć kilogramów sody". ,,Po zbadaniu laboratoryjnym próbki pobranej o godzinie dwudziestej trzeciej na czwartej maszynie powinno się dodać według przewidzianych norm do masy przeznaczonej na papier zeszytowy: pięćdziesiąt siedem wapnia i cztery i jedną czwartą kilograma sody". Właśnie za tę nabytą z latami umiejętność pobierał mój dziadek najwyższą zapłatę wśród pracowników fabryki niemających wykształcenia zawodowego.

W akcie zgonu dziadka Franciszka widnieje wpis, że urodził się w 1864 roku w Jeziornie! Widać ksiądz w Powsinie, pisząc akt zgonu, musiał mieć mylnie podane przez zgłaszających miejsce urodzenia. Franciszek urodził się tam, gdzie mieszkał przed przeprowadzką do Jeziorny, wydaje się, że w Wieruszowie. W Edwardowie 17 października 1906 roku urodziła się moja matka Irena Marta jako jedno z ośmiorga dzieci Franciszka i Wiktorii z Plewińskich (dziesięć lat młodszej od męża). W wieku dwudziestu lat wzięła ślub z trzydziestojednoletnim Wincentym Cechnickim. Babcia Irenka, gdyby żyła, miałaby teraz sto lat.

Po śmierci moich dziadków najmłodszą ich córkę Aleksandrę wzięli do siebie moi rodzice. Od 1926 roku do zamążpójścia wychowywała się razem ze mną, dlatego zawsze odnosiłem się do Oli jak do rodzonej siostry. Aleksandrę, matkę Aliny Dwornik-Dominowskiej, idącą z wnuczką Małgorzatą chodnikiem najechał w Skolimowie 5 stycznia 1966 roku ogromny samochód ciężarowy. Zginęła na miejscu. Małgosia, wyrzucona z wózka jak z katapulty, została znaleziona za płotem w dwumetrowej pryzmie miękkiego śniegu. To ją uratowało. Bracia mojej matki Emil (1903-1924) i Bogusław
(1910-1936) zmarli młodo z powodu gruźlicy płuc. Pozostałe rodzeństwo, wujek Maksymilian, ciocie Florentyna, Scholastyka i Justyna, a także moja mama Irena Marta – wszyscy zmarli w starszym wieku śmiercią naturalną.

Dwudziestopięcioletni szofer-mechanik Wincenty Cechnicki został przyjęty do „Mirkowa" jako kierowca dyrektora w dniu 1 stycznia 1923 roku. Był jednym z tysiąca stu pracowników fabryki. Zamieszkał na poddaszu największego czerwonego budynku stojącego przy wjeździe do Mirkowa, popularnie zwanego ubezpieczalnią. Mieszkający na trzecim piętrze Wacław Kudrewicz, też kresowianin, urzędnik z rachuby, przyjął ojca na współlokatora. Pochodził z Niemirowa koło Winnicy. Ojciec opowiadał, że mieli wtedy pierwsze radio na słuchawki, dedektorowe. Do dziś jesteśmy blisko związani z rodziną Kudrewiczów. Od 1956 roku nasze działki w Klarysewie sąsiadują. Wacław i Józefa Kudrewiczowie mieli trzech synów: Edwarda, Jacka i Marka. Jacek jest emerytowanym profesorem nauk technicznych. Przed emeryturą pełnił obowiązki profesora zwyczajnego Politechniki Warszawskiej. Mieszka obok nas z żoną Haliną, doktorem matematyki. Od lat są dla nas bliskimi ludźmi. Dobrzy i życzliwi, niezwykli teraz i w przeszłości. „Tadeusz Kościuszko Naczelnik Najwyższy Siły Zbroyney Narodowey" podpisał w obozie na Mokotowie pod Warszawą „10 września 1791 roku imć podchorążego Jana Kudrewicza patent na szarżę chorążską w Regimencie Pieszym Trzynastym Koronnym". Nie tylko takim kuzynem mogą się pochwalić nasi sąsiedzi. Jacka autentyczny wuj, brat jego matki Józefy Kudrewicz z domu Kaczyńskiej, sługa Boży ksiądz Dominik Kaczyński, kapłan archidiecezji łódzkiej (1886-1942), męczennik Dachau, jest objęty procesem beatyfikacyjnym. Mam nadzieję, że Jacek i ja, jako jego sąsiad, możemy liczyć na protekcję i przychylne traktowanie nas przez niezwykłego „wujka".

Wracając od szmaciarni drogą nad kanałem do domu, do Mirkowa, babcia Irenka, trzymana przez męża za nogę, wyciągała przy stawidłach gołymi rękoma wspaniałe, ogromne raki. Zawsze się ich bałem. Nigdy nie podszedłem do nich blisko. Patrzyłem na oryginalny połów z daleka. Najbardziej napełnia mnie wstrętem, gdy wyobrażę sobie wrzucanie biednych, żywych raków do wrzątku. Dziś mojej Danusi funduje ucztę rakową Michał w Sztokholmie. Mnie dotyka osobiście i napawa przerażeniem myśl o ich niecodziennej biesiadzie.

Między kanałem a drogą były tory ułożone specjalnie dla smukłych, nigdzie niespotykanych, wysokich wagoników o podstawie jednego metra kwadratowego i wysokości dwóch metrów. Ciągnione przez wielgaśnego perszerona dowoziły do szmaciarni szmaty, które po przesortowaniu odwożono z powrotem do

fabryki jako niezbędny dodatek do pewnych gatunków papieru. W moim przekonaniu konia od zawsze poganiał Smaderek lub Wojdasiewicz. Największą trudnością było nastawienie wózka, który wypadł z szyn. Zawsze podziwiałem zmyślnych woźniców ustawiających samodzielnie wózek pełen szmat na szynach.

Na terenie osady w jedno- i dwupiętrowych solidnych domach były mieszkania dla pracowników: dla robotników jednopokojowe z kuchenką, a dla uprzywilejowanych rzemieślników i brygadzistów dwupokojowe. Trzypokojowe mieszkania z kanalizacją miała kadra kierownicza, w połowie niemieckiego pochodzenia. Nazywani przez nas fabrykantami, zasymilowani, nawet często rzymscy katolicy, mieszkali w środku osady w okazałym, wyróżniającym się wśród innych domu stojącym naprzeciwko głównego wejścia do fabryki. Był to budynek dwupiętrowy, czerwony, dziś ma dobudowane facjaty. Wchodziło się do niego od frontu paradnym wejściem z granitowymi, szerokimi schodami. Wejść można było też z drugiej strony – „od kuchni". Tam znajdowało się również zejście do solidnych piwnic. W tej właśnie piwnicy, siedząc na węglu, przeżyłem pierwszej nocy Powstania swoje osobiste „Twa teatry". Do dziś nie mogę dać sobie rozgrzeszenia, czuję zadrę w sercu, czy słuszne było siedzenie przez całą noc na węglu, czy należało pójść z kolegami na Niemców z butelkę benzyny w ręku? Nigdy, do końca życia nie będę miał na to usprawiedliwienia, jednoznacznej odpowiedzi. Zadra tkwiła i tkwi nadal.

Urzędnicy mieli klub, gdzie obiad z trzech dań kosztował złotówkę i dziesięć groszy. Atmosfera kawiarniana, stoliki, obrus, obsługa. Robotnicy mieli nad „celibudą" swoją garkuchnię. Duża, widna sala, solidne stoły z czystymi obrusami i ławy. Obiad kosztował osiemdziesiąt groszy. Zupa i chleb, ile kto chciał. Kotlet na drugie nieoszukany, wielkości dłoni. Po pracy lub w czasie przerwy każdy mógł przyjść w roboczym ubraniu i najeść się do syta. Gdy w sobotę lub w niedzielę przyszedł stały klient z kolegami, dobrze znanymi właścicielce, to patrzyła przez palce, jak wychylali po „setce". Garkuchnię prowadziła młodsza siostra mojej matki Justyna (1912-2003). Obok garkuchni był pokój ze stołem bilardowym i stoliki do gry w preferansa (nie słyszałem, żeby przed wojną pracownicy fizyczni grali w brydża). Po lewej stronie, na piętrze, była licząca dwa tysiące sześćset pozycji biblioteka robotnicza. Prowadził ją mój ojciec. Miał do pomocy dwie młode panny. Cała trójka pracowała ochotniczo, społecznie. Mój ojciec był również przewodniczącym Towarzystwa Siedmioklasowej Szkoły Podstawowej w Jeziornie Fabrycznej założonej w 1905 roku. W latach dwudziestych kierownikiem szkoły był Jan Olszewski, a w moich czasach Władysław Rybczyński „Jota", ojciec mojego przyjaciela od dziecka Bogusława. Marta Grochulska uczyła moją matkę, mnie i mojego syna.

Mam przed sobą świadectwo szkolne pięciooddziałowej szkoły fabrycznej w Jeziornie Fabrycznej. Moja matka rozpoczęła w niej naukę trzeciego września 1916 roku (ciekawe, w wieku 10 lat!), a ukończyła ją piętnastego czerwca 1920 roku. Otrzymała na świadectwie oceny: religia – celujący, język polski – dobry, francuski, niemiecki, arytmetyka, geometria, przyrodoznawstwo, historia, geografia, rysunki, roboty ręczne, gimnastyka, śpiew – celujący. Mnie i mojego syna w pierwszej klasie uczyła Irena Koprowska, znana wszystkim jako „ciocia Koprosia", żona ogrodnika dyrektora Natansona. Nie mogę pominąć znanego trzem pokoleniom woźnego, z sumiastymi wąsami Stanisława Stasiaka. Mieszkał niedaleko szkoły „pod bocińcem", w pobliżu publicznego wychodka, jednego z dwu w całej osadzie.

Dla porównania pierwszy w Polsce świecki minister edukacji Stanisław Kostka Potocki w 1794 roku otworzył pierwszą szkołą świecką. Niepozorny, ceglany, mały parterowy budyneczek z kopertowym, wysokim dachem. Zabytek kultury. Jeszcze dziś każdy może go zobaczyć w połowie drogi z Powsinka do Wilanowa, przy drodze prowadzącej do Zawad. Nie na darmo przyznano Potockiemu medal Komisji Edukacji Narodowej. Szkoła to był wtedy wyłom w morzu panującej powszechnie wśród ludu ciemnoty. Na wsi częściej spotykana była karczma. Poza księdzem i organistą nieliczni mogli pochwalić się, że umieją czytać i pisać. Prywatna szkoła fabryczna otwarta w 1905 roku przez Edwarda Natansona w porównaniu z opisaną wyżej to wspaniały, piętrowy, nowoczesny gmach. Spełniała wszystkie wymogi stawiane szkołom do 1960 roku. Szkoła była dla wszystkich bezpłatna, również dla dzieci okolicznych chłopów. Moja matka, ciotki Ola i Justysia, pradziadek Zbysio, synowie – sławny krakowski psychiatra Andrzej Feliks z biznesmenem Krzysztofem Janem, Elżunia, Alusia, Leszek, Maciek z Jackiem – wszyscy do niej chodziliśmy. Czternastego października 1960 roku szkoła została przeniesiona do tysiąclatki na Porąbkę. W jej dawnym budynku po adaptacji przez wiele lat działała stołówka dla pracowników, a na pierwszym piętrze były mieszkania dyrektora fabryki magistra Józefa Osucha i doktor Teresy Godlewskiej z przychodni przyzakładowej. Za moich czasów na terenie osady, obok domu, w którym mieszkałem, było na parterze również bezpłatnie przedszkole fabryczne. Maluchom podawano drugie śniadanie. Dziecko do świeżutkiej maślanej bułeczki mogło wybrać mleko, kakao albo herbatę.

Jak już pisałem wcześniej, wyjątkowo uzdolnionym uczniom fabryka dawała stypendium. Na przykład Jurek Fijałkowski, ojciec Czarka, otrzymywał bajońską sumę czterystu złotych, dopóki chodził do konserwatorium w klasie skrzypiec. Trzej bracia Michalczykowie, kuzyni ze strony mojej matki (wuj Jan Płotka ożenił się z Florentyną Michalczyk), dzięki stypendiom zostali inżynierami chemikami. Wyższe wykształcenie uzyskali na Politechnice Warszawskiej. Najstarszy nawet zrobił doktorat. Ojciec ich był zmianowym, kolegą mojego dziadka Franciszka. Cała rodzina mieszkała w Edwardowie, pięć osób w jednym pokoju z maleńką kuchenką. Dwaj starsi synowie zostali jako oficerowie zamordowani w Katyniu. Ja, już jako lekarz, u ich dziewięćdziesięciodwuletniej matki rozpoznałem ostry wyrostek. Operację zniosła doskonałe i przeżyła w dobrym zdrowiu do dziewięćdziesiątego czwartego roku życia.

Z inicjatywy działaczy Domu Ludowego latach 1923-1924 w zaciemnionej salce miejscowej ochronki, w tak zwanym „Iluzjonie", odbywały się pierwsze seanse filmowe. Majster warsztatowy Sabelman był pierwszym kinotechnikiem. Stary Sabelman był również pierwszym w naszej osadzie amatorem automobilistą, którego często musieliśmy pchać, gdy jego archaiczny pojazd nie mógł zapalić. Wszystkie dzieci wiedziały, że jego jedyny, ukochany syn Januszek był niepełnosprawny psychicznie. Nie był groźny dla otoczenia, ale odsuwaliśmy się od niego. Ja już nie widziałem „Iuzjona". Z opowiadań bywalców, którzy chodzili tam często i chętnie, wiem, że historyczne nagrania braci Lumière „Czarodziejski płaszcz" i „Oblanego ogrodnika" ilustrowała muzycznie na fortepianie Tatiana Tyburska, córka Stefana, inżyniera chemika o wyraźnie lewicujących poglądach. Od 1924 roku w soboty i w niedziele naprzeciwko szkoły czynne było prawdziwe kino. Bilet wstępu kosztował pięć, dziesięć lub dwadzieścia groszy, loża pięćdziesiąt groszy. Bileterem był najpierw pan Kuranowski, potem groźny Franciszek Moskalewicz, działacz w klubie sportowym „Mirków". Kinooperatorem był Kochel, młodszy brat elektromontera Edwarda, który mieszkał z żoną na parterze w tej samej sieni co my. Bardzo czyści, bezdzietni, mieli tylko jasnobrązowego, malutkiego foksterierka Fafika. Mój ojciec ma z Edwardem Kochelem, Niemcem z pochodzenia, i z Michałem Kucickim, malarzem pokojowym, znajomymi z fabryki, zdjęcie zrobione w 1940 roku, gdy byli internowani w Turnu Severin w Rumunii. Tylko kilka razy byłem w kinie na niemym filmie. W czasie wyświetlania filmu niemego Krysia Fijałkowska dawała odpowiedni podkład muzyczny grą na fortepianie, a Jurek Fijałkowski, jej młodszy brat, grał na skrzypcach. W sali kina Janina Kępkowa reżyserowała okolicznościowe występy chóru szkolnego, deklamacje, popisy wokalne i muzyczne dla podkreślenia wagi świąt państwowych, a czasie Bożego Narodzenia jasełka. Po pierwszej wojnie światowej prężnie reaktywował działalność Robotniczy Klub Sportowy „Mirków" z sekcjami: rowerowo-turystyczną, piłkarską, lekkoatletyczną, teatralną, szachową. Zawsze ta sama grupa młodych zaangażowanych entuzjastów pojawiała się w Domu Ludowym: Stanisław Daniszewski z siostrą Anną, Stanisław Wroński, Wacław Rąbalski, Lucjan Włodarski-Górecki, Zygmunt Witak, Czesława Konopkówna (Witakowa), Irena Matysiakówna, Regina Sutańska (Kwiatkowska).

Jeziorna Fabryczna należała do parafii św. Kazimierza w Słomczynie. Widocznym z daleka znakiem religijnego zaangażowania osady był krzyż postawiony za fabryką, koło stawu, obok drogi prowadzącej do Habdzina. Za moich czasów, tak jak i dziś, mówiło się potocznie: „przejdziemy się do figurki". To było jednoznaczne określenie. Każdy wiedział, gdzie idziemy. Nikt nigdy nie powiedział „idziemy na spacer do krzyża" albo „spotkamy się wszyscy koło krzyża". Starzy mieszkańcy mówili, że wzgórek został specjalnie usypany w miejscu, gdzie pochowano bezbronnych powstańców w 1831 roku posiekanych co do jednego przez Kozaków. Kurhan był ogrodzony dookoła niskim, do kolan sięgającym masywnym płotkiem zrobionym z okrągłych, lanych wsporników o średnicy dziesięciu centymetrów. Każdy z nich miał dwa otwory, przez które przewleczone były dwuipółcentymetrowe lite pręty. Front krzyża patrzył na osadę. Dość duża podstawa, w której tkwił krzyż, miała odlane wypukłe napisy, do dziś doskonale czytelne. Od wschodu, od strony Habdzina: „Na chwałę Bogu, ku pożytkowi bliźnich wierni mieszkańcy papierni krzyż ten postawili w 1856 roku". Z przodu, od frontu, od strony fabryki: „Niechaj będzie miłosierdzie Twoje Panie nad nami". Od południa, od strony Obór: „Nie omieszkaj nawróć się do Pana i nie odkładaj od dnia do dnia". Od północy, od strony Kłopotowa: „Przepuść Panie ludowi Twemu".



Ksiądz Wincenty Tymieniecki. Zdjęcie ze zbiorów Danuty Cechnickiej

Dwudziestego maja 1907 roku wmurowano kamień węgielny pod neogotycki kościół rzymsko-katolicki pod wezwaniem św. Józefa. Inicjatorem jego budowy był ksiądz prałat Wincenty Tymieniecki. Budowę wspierał dyrektor Natanson, który był ewangelikiem. Fundatorami byli między innymi dziadkowie Sławka Łodzińskiego Florentyna i Hieronim Popowscy. To właśnie od ojca Sławka, Wacława Łodzińskiego, mój ojciec nabył Klarysew. Kościół mojego dzieciństwa był budowany przez mieszkańców osady i okolic przez pięć lat. Między innymi dziadkowie zaprzyjaźnionych ze mną Jasi i Włodka – Józef Wroński z żoną Bronisławą z Wieluniowa, ufundowali krzyż. Józef Wroński, od 1889 roku maszynista piątej maszyny, miał niebywałą odwagę wnieść i umocować krzyż na czubku nowo zbudowanej strzelistej wieży. Krzyż króluje okolicy do dziś. Syn Józefa Stanisław, również maszynista (pracował od 1905 do 1926 roku) – rówieśnik mojego dziadka Franciszka Płotki, był cenionym papiernikiem, lubianym przez kolegów. Po swoim ojcu odziedziczył zaangażowanie społeczne. Był społecznikiem pionierem, a przy tym wyróżniał się osiągnięciami organizatorskimi: założył oddział Kasy Stefczyka, w którym był skarbnikiem, założył też bibliotekę i ją prowadził, był prezesem klubu piłkarskiego i filarem Domu Ludowego, gdzie w sekcji teatralnej reżyserował i grał z powodzeniem pierwszoplanowe role. Na owe czasy wybijał się wśród rówieśników. Był duszą zaangażowanych w najtrudniejsze, nowatorskie poczynania.



Kościół pw. św. Józefa Oblubieńca w Mirkowie. Na pierwszym planie po lewej stronie fragment fasady Domu Ludowego. Zdjęcie ze zbiorów Danuty Cechnickiej

W naszym domu religijność opierała się na godnej naśladowania tolerancji mego ojca. Matka brała udział w nabożeństwach, ojciec tylko wtedy, kiedy musiał. Jeszcze dziś słyszę, jak w niedzielę za piętnaście dziewiąta spokojnym głosem napominał: „Zbyszku, jeżeli w ciągu pięciu minut nie wyjdziesz, zostaniesz w domu". Istotną rolę w naszej małej społeczności odgrywał kościelny odpust. Nikt się nie zastanawiał nad korzyściami wynikającymi ze święta kościelnego jako przeżycia duchowego, religijnego. Dorośli na równi z dziećmi oczekiwali przyjazdu kramarzy, ludowej zabawy, gier, w których za symboliczną złotówkę można było wygrać fortunę. Każde z dzieci nawet z groszowym kieszonkowym czuło się kimś, kto mógł za otrzymane i trzymane w garści drobniaki kupić sobie, co chciał. Tak było, dopóki nie przegrał ostatniej dziesięciogroszówki, którą wydrwigrosze wyłudzili od niego w „trzy karty". W powietrzu słychać było przekrzykujących się cwaniaków z Annopola, Kercelaka, Szmulek, hołdujących zasadzie, że „nad warszawiaka nie masz cwaniaka". Zewsząd, z każdej strony dochodziły pełne zachęty nawoływania niebudzące najmniejszej wątpliwości co do wygranej. „Biała wygrywa, czama przegrywa". „Dać, obstawiać, nie żartować i złotówki nie żałować". „Każdy szczęściu dopomoże, każdy szczęście wygrać może". „Tu się wygrywa, tu się przegrywa". „Kto ma żonę, kręci w jedną stronę, kto nie ma żony, kręci w obie strony". Dzieci, dorośli... Barwna, ludowa zabawa pełna słońca, pisku, pokrzykiwań. Na razie dookoła porządek, kramy, stoliki. Każdemu, kto miał w kieszeni grosiki, udzielała się atmosfera hazardu i widział szansę wielkiej wygranej. „Trójka, wafelek dla wujka". „Kręć, pani, kogutka w ogonek, a wygrasz złoty pierścionek". Mogłeś zakręcić i wygrać wyszczerbiony talerz złocony, czekoladę. Wracało się do domu, pękając z dumy, z niepotrzebną nikomu popielniczką, fajansowym wazonikiem lub kaczuszką z odtrąconym dziobkiem. Po południu zostawało przed kościołem już tylko pobojowisko: sterty śmieci, papierów, odpadki. Na pocieszenie dostawałem od matki dziesięć groszy na loda na wafelku, którego kupowało się u Piotra lub grubaśnej Tekli Ziętków. Za dwudziestaka nakładali łyżką lody na ogromny wafel. Stali niezmiennie, każde obok biało pomalowanego wózka, w miejscu, gdzie skręcało się z głównej drogi, obecnie ulicy Mirkowskiej, w kierunku kina. Pod wieczór, zmęczeni, pchali swoje dwukołowe lodziarnie do Habdzina. Do dziś najbardziej smakują mi lody śmietankowe i czekoladowe.

Z reguły po południu w altanie zbudowanej w samym centrum osady, między kościołem a szkołą, orkiestra dęta straży fabrycznej grała znane melodie taneczne i ludowe. Altana była odkryta, zadaszona, postawiona na około dwumetrowej podmurówce. Wchodziło się do niej od strony północno-wschodniej szerokimi, wygodnymi schodami. W czasie świąt państwowych i kościelnych głośna gra miała podkreślić niecodzienny, ludowy i

masowy udział całej osady. W wigilię świąt 3 Maja i 11 Listopada był capstrzyk. Orkiestra strażacka w pełnym składzie, za nią członkowie POW, (przysposobienia obronno-wojskowego), harcerze i dzieciarnia. Okazja, żeby nie iść spać. Ku zadowoleniu dzieci korowód w rytm żołnierskich marszów obchodził osadę co najmniej dwukrotnie. Zwykle przez pozostałe dni, kiedy w altanie nie grała uroczyście orkiestra, jej użytkownikami niezależnie od pogody byliśmy my, dzieciarnia. Dzięki zadaszeniu altanka była ulubionym miejscem zabaw, gonitw, harców. Opisując związane z odpustem przeżycia przyznaję, że większość posiadanych przeze mnie zdjęć z dzieciństwa została robiona na odpuście. Zdjęcia u prawdziwego fotografa wykraczały poza nasze możliwości finansowe.

Jeśli chodzi o straż, była ona jedyną w okolicy zawodową strażą pożarną. Komendantem był Karłowski. Jego synowie Wacław, Wiesław i Stanisław byli moimi kolegami. Rodziców nie było stać, żeby całej trójce kupić łyżwy. Wieśka lubiliśmy dlatego, że był naszym najlepszym bramkarzem. Wszyscy już dawno nie żyją. I jeszcze jedno: nasz Krzyś przed maturą, krótko bo krótko, ale był zakochany w Joli, córce Stasia. Musiałem wysłuchiwać skarg sąsiadów mieszkających na Grapie, że Krzysztof Jan godzinami jeździ pod jej oknem swoim simsonkiem, okazując jej swoją płomienną miłość, a oni nie mogą spać.

Z dzieciństwa niejasno przypominam sobie księdza Stanisława Pancera, który był rektorem w latach 1930-1937. Ksiądz odwiedzał mieszkania robotników po kolędzie, a w Wielką Sobotę przed Wielkanocą w wybranych domach święcił jajka. Wybór mieszkania łączył się z powszechnym szacunkiem dla właściciela i aprobatą otoczenia. Sąsiedzi znosili święconki. I wtedy trzyletni Zbysio dał plamę. Po ceremonii poświęcenia i wymianie wzajemnych uprzejmości zwyczajowo babcia Irenka miała dyskretnie wręczyć jowialnemu duchownemu srebrną pięciozłotówkę, tak zwanego Piłsudskiego. I tu zaczęły się schody. Moneta przepadła jak kamień w wodę. Znalazła się dopiero w kieszonce mojego sweterka przy praniu. W latach 1937-1956 prefektem i moim nadzwyczajnym wychowawcą duchowym był ksiądz profesor doktor habilitowany Ryszard Paciorkowski, uczeń i asystent profesora apologetyki Zygmunta Kwiatkowskiego. Ojciec wielokrotnie zwracał się do księdza Paciorkowskiego o poradę pedagogiczną, o pokierowanie mną dyskretnie, a zarazem skutecznie. Jego dyskretne, ale wymagające, a zarazem pełne tolerancji metody wychowawcze wywarły trwały wpływ na moje myślenie i działanie. Także jego zaangażowanie społeczne było godne naśladowania i zyskało szacunek całej osady. Lubili księdza rektora wszyscy niezależnie od poglądów politycznych i sympatii dla kościoła. Gdy po wojnie przejął po profesorze Kwiatkowskim katedrę na Bielanach, zamieszkał z siostrą Danutą, lekarką, w dwóch maleńkich pokoikach przy alei Wyzwolenia w Warszawie. Leży w Wilanowie. Pełen sentymentu odwiedzam jego grób, gdzie spoczywa z rodzicami i siostrą. Jego miejsce zajął ksiądz Stanisław Zalewski (1957-1963), a wikariuszem był ksiądz Adam Gryz. Gdy 10 marca 1957 roku kardynał Stefan Wyszyński podniósł kościół fabryczny do rangi probostwa pod wezwaniem św. Józefa Oblubieńca, proboszczem był brat Stanisława ksiądz Jarosław Zalewski (1957-1982), w latach 1983-1992 ksiądz Jan Wolski, następnie ksiądz Kazimierz Jatczak z wikariuszem księdzem Dariuszem Brzezińskim. Po 1945 roku nie miałem kontaktu z osadą. Studia w Krakowie, potem na Akademii Medycznej w Warszawie. Zamieszkałem w Pruszkowie. Ożenek, dziecko. W 1952 roku zostałem „wzięty na ochotnika" do wojska. Dopiero praca na stanowisku kierownika przychodni przyzakładowej zbliżyła mnie z powrotem do osady. Jednak wtedy, w 1963 roku, to już nie była moja osada. Wszystko stało się dla mnie obce.

Muszę jeszcze wspomnieć, na jakich zasadach funkcjonował sklep fabryczny. Został zbudowany w 1908 roku, rozebrany w 1970. Najważniejszy był dział spożywczy, następnie działy galanteryjny, podstawowych środków czystości oraz artykułów biurowych. Opis wszystkich przeżyć związanych w ze sklepem, który ogniskował życie społeczne osady, a w czasie okupacji również konspiracyjne, wystarczyłby na dwie nowelki Czechowa. Byłem zżyty z tym sklepem od dziecka. Matka posyłała mnie tam po pieczywo, ojciec – po dwie buteleczki piwa lub oranżadę, gdy ktoś przyszedł do niego na szachy. Każdy pracownik z rodziną mógł wszystko kupować za gotówkę lub na kredyt. W tym celu miał twardo oprawioną, czerwoną książeczkę kredytową o wymiarach dziesięć na piętnaście centymetrów, opatrzoną jego nazwiskiem i numerem identyfikacyjnym. Uprawniała ona okaziciela do brania w sklepie zakupów na kredyt. Co dwa tygodnie dług był sumowany i odliczany od pensji przez pana Witolda Dąbrowskiego (też nasz sąsiad z ulicy Willowej). My zawsze płaciliśmy gotówką. Kierownikiem był pan Kazimierz Browarski. Przy kasie siedziała pani Aurelia Jankowska, która, podobnie jak jej siostra Stefania, do śmierci tkwiła w staropanieństwie. Ekspedientami byli Janina Szygendowska i jej bratanek Józef, szachista. Od strony południowej, w zewnętrznej przybudówce, sprzedawała jarzyny i owoce pulchna panna Pola Knyziak z Habdzina. Od północy, między sklepem a dwupiętrowym czerwonym budynkiem zamieszkiwanym przez księdza i urzędników, było dobudowane prostopadle do sklepu parterowe, pojedyncze pomieszczenie z witryną, w którym prowadził sklep mięsno-wędliniarski wujo Maks, czyli Maksymilian Płotka, najstarszy brat mojej matki. Tylne wyjście ze sklepu prowadziło do masarni – niewielkiego pomieszczenia, w

którym dwaj pracownicy wyrabiali stale świeże, smaczne wędliny. Obok stały komórki na drzewo i opał oraz ubikacja, typowa sławojka. Wujek miał średnie wykształcenie handlowe i był zamożnym człowiekiem. W 1934 roku ożenił się z Wacławą Kopystyńską z Warszawy, z którą miał dwóch dorodnych synów. Gdy zbankrutował i fabryka rozwiązała z nim umowę, sklep mięsny przejął Mikołajczyk, a po nim Serwach. Maksymilian Płotka mieszkał wtedy ze swoją rodziną na drugim piętrze sklepu fabrycznego, a w okupację przeprowadził się na ulicę Królewską w Nowej Jeziornie. Do końca swojego życia pracował jako handlowiec w spółdzielni „Społem" w Warszawie. Z Józefem Szygendowskim, przed wojną sprzedawcą w sklepie fabrycznym, mój ojciec zawsze chętnie grał w szachy.

Po drugiej wojnie Józef Szygendowski pełnił odpowiedzialną funkcję organizatora wystaw targów międzynarodowych. Z jego bratem Janem Szygendowskim, hodowcą klematisów, sąsiadujemy w Klarysewie przez płot od strony południowej. Nasz sąsiad był teściem Wojtka Kulczyka, jedynego syna magistra Stefana Kulczyka, któremu zawdzięczam moją widzę humanistyczną, znajomość literatury i lewicujące poglądy. Całą okupację miałem z nim korepetycje. Wojtek Kulczyk był wyróżniającym się fizykiem. W 1960 roku zrobił ojcu kawał i uciekł do USA. Pracował tam jako wybitny fizyk na przylądku Canaveral. Ojciec komunista, oddany bez reszty ideolog, który od 1945 roku był szefem gabinetu Ministerstwa Urzędu Bezpieczeństwa przy ulicy Rakowieckiej, nie zniósł ciosu i zmarł na zawał. W czasie studiów na pierwszym roku medycyny w Krakowie odwiedzałem nieświadomy mojego nauczyciela, którego lubiłem i z którym zżyłem się w codziennym kontakcie przez cztery lata okupacji. Teraz, z perspektywy czasu widzę, jak ktoś mógł mnie opatrznie oceniać, nawet mając dla mnie duży stopień tolerancji. Przez chwilę nie miałem świadomości, że z dziecinną beztroską pcham się w paszczę lwa.

W czasie okupacji dyrektor fabryki Aleksander Wysokiński namówił mojego ojca, żeby wziął sklep fabryczny w dzierżawę, co miało być dla nas sposobem na przeżycie głodowego okresu. Mój ojciec był przez dwadzieścia lat szoferem Wysokińskiego i dał się mu poznać jako człowiek prawy i uczciwy. W styczniu 1941 roku ojciec podpisał umowę dzierżawy i zobowiązanie do prowadzenia sklepu kontygentowego, to znaczy rozdzielającego ludziom mierne przydziały na kartki. Zaraz też zarządził, że „rezerwistki", to jest żony, których mężowie zginęli lub byli w obozach, będą otrzymywały u nas produkty na kartki bezpłatnie. Mnie i matkę wtajemniczył też, że konkretnym odbiorcom rozdajemy prasę podziemną dostarczaną do naszego sklepu przez znajomych reprezentujących różne środowiska. W zasadzie w sklepie były pustki. Sól, czasami spod lady parę kilo rąbanki, dwa, trzy kilogramy masła, parę jajek przyniesionych ze wsi czy ukrywane papierosy z samosiejki ręcznie napychanej w tutki, a nawet papierosy niemieckie odkupywane od żołnierzy. Oficjalnie nici, igły, guziki, pasta „Dobrolin" i sprzedawane dzieciom na sztuki znakomite krówki „Pomorskiego" z Milanówka. Tu jest odpowiedź, dlaczego fabryka wydzierżawiła memu ojcu sklep. Na oficjalnych zasadach po prostu nie mógł istnieć. My zamieszkaliśmy na pierwszym piętrze w dwóch pokojach z kuchnią. Ja uczyłem się na drugim piętrze w mieszkaniu, w którym mieszkał wcześniej wujo Maks z rodziną. Zatrudnienie mieliśmy wszyscy. Ojciec kierował sklepem, sprzedawcami byliśmy matka, ja oraz Eugenia (Genia) Ziemska, później żona Janka Mierzwiaka, i Wandzia S. adoptowana przez małżeństwo Szczotków z Porąbki. Wandzia wyszła za mąż za Mieczysława, rodzonego brata Janka. Trzeci z braci, Kazio, pierwszego dnia Powstania został ciężko ranny i męczył się, dogorywając miesiąc. Cały czas, kiedy prowadziliśmy sklep, naszą ukochaną, bez reszty nam oddaną służącą była dwudziestoletnia Stasia Osuch z Lęgu (nazwisko panieńskie Danusi brzmi Ozuch!). Mieszkała z nami i była przyjacielem naszego domu. Do końca życia pozostała starą panną.

Wiosną 1942 roku, w czasie Holokaustu, przechowywaliśmy w moim pokoju na drugim piętrze prześliczną dziewczynkę, pięcioletnią Zosię Borakowską, córkę podporucznika komandora Henryka Borakowskiego, który był w oflagu, i Alicji Wysokińskiej, córki dyrektora Aleksandra Wysokińskiego. Ponieważ żona dyrektora była Żydówką, wnuczka musiała się ukrywać. W pokoju był specjalnie zrobiony za półką zmyślny schowek. W razie spodziewanej rewizji w ciągu trzech minut można było w nim ukryć nawet dorosłego wraz z zapasem wody i jedzenia. Dyrektor Wysokiński zmarł w 1943 roku. Mała Zosia po wojnie została lekarzem dziecięcym. Nigdy ani ona sama, ani jej rodzice nie odezwali się, nie zrobili w stosunku do nas żadnego przyjaznego gestu. Z żoną i córkami dyrektora Alicją, matką Zosi, i Krystyną, jej ciotką, nasze kontakty osobiste po wojnie też były tylko niemiłe, ohydne, obrzydliwe. Przed śmiercią dyrektor Wysokiński dał mojemu ojcu na przechowanie złoto i przykazał, żeby oddać je jego córkom, a w razie ich zgonu – wnuczce Zosi. Mój ojciec spełnił wolę zmarłego i w mojej obecności oddał powierzone sobie złoto. Niestety panie Wysokińskie nie mogły się pogodzić, ścierpieć, że sąd grodzki wyznaczył mojego ojca z urzędu na przymusowego zarządcę sądowego majątku po zmarłym Aleksandrze Wysokińskim i uczynił go gwarantem jego sprawiedliwego podziału.

Po wojnie mieszkaliśmy w Klarysewie na pierwszym piętrze w willi po Aleksandrze Wysokińskim. Matka i Krystyna robiły wszystko, żeby dokuczyć moim rodzicom i mojemu synowi przez nich wychowywanemu. W podły sposób zatruwały im życie, na przykład popychając dziecko lub spychając je ze schodów. Wtedy ja zaskarżyłem je do sądu. Napisałem wyraźnie: „Ponieważ robią krzywdę dziecku oficera WP, ja beznamiętnie zwracam się do sądu z prośbą o poddanie badaniu psychiatrycznemu pań Wysokińskich. Poddam się orzeczeniu biegłego. A sąd niech albo przykładnie ukarze pozwane, albo w przypadku ich choroby psychicznej zagrażającej porządkowi społecznemu zmusi je sądownie do leczenia w szpitalu psychiatrycznym". Od tej chwili mieliśmy spokój. Obchodziły nas z daleka. W książce „Czterdzieści twardych" Barbary Stanisławczyk (ABC, Warszawa 1997, wydanie pierwsze) na stronie dwieście szóstej Krystyna Wysokińska-Milczarek opowiada o swoich strasznych przeżyciach okupacyjnych. Autentycznie, barwnie, ale nie wspomina ani słowem o Zosi, o tym, że ją ukrywaliśmy, że oddaliśmy rodzinie przechowywane przez nas złoto. Nie wspomina też o mojej skardze sądowej.

Jak już wcześniej wspomniałem, w czasie okupacji przedmiotów humanistycznych uczył mnie Stefan Kulczyk, prawnik, syn chłopa z Opaczy. Od 1943 do 1944 roku matematyki i fizyki uczył mnie Mikołaj Bezwuhły, kapitan WP, chodzący wolno, szczupły, podobny do Don Kichota. Miał źrenicę zawsze dwukolorową (sic!). Fenomen natury. Minęło już 61 lat, odkąd zetknąłem się z medycyną, ale taką wyraźnie dwukolorową tęczówkę widziałem tylko u niego. Był oficerem zawodowym. Z zamiłowania zajmował się fotometrią gwiazd. Przed wojną z ramienia Wojskowego Instytutu Geograficznego wytyczał granice Polski z ZSRR. W okupację ukrywał się u swego szwagra Andrzeja Orłowskiego, dyrektora gospodarczego fabryki, ojca mego kolegi Czesława. Zaraził mnie nieuleczalnie matematyką. „Definitio est per sinus proximum et diferentiam specificam". Nic dziwnego więc, że po wojnie znalazłem się najpierw w Łodzi, gdzie miałem szczery zamiar zdawać na matematykę. Jednak namówiony na medycynę przez przypadkowo poznaną ocalałą Żydówkę, malutką dziewczynę o przepięknych, rudych włosach, i przez znajomą Mariana Kołdowskiego (ojca Janusza) Malinę Nowakowską (pediatrę w Częstochowie) ruszyłem do Krakowa. Jechałem odkrytą ciężarówką kierowaną przez frontowych, radosnych czerwonoarmiejców. Mieli przewieźć zaprawy do wódek wysokogatunkowych z Dyrekcji Monopolu Spirytusowego w Łodzi do takiej samej w Krakowie. Wujo Marian zapłacił za nas kierowcom dodatkowo dwa litry. Nam, pasażerom przyczepy, też dał po flaszce. Pogoda była wymarzona. Czerwiec. Cały czas śpiewaliśmy. Nie przeszkadzaliśmy sobie. Oni się darli w szoferce, my na przyczepie. Pokojowe braterstwo broni podkreślane na krótkich postojach wojskowym chlebem, kiełbasą i nieobieranymi, świeżo kupowanymi ogórkami. Dojechaliśmy zupełnie zachrypnięci. Bezgłos. Wysadzili nas przy Plantach na ulicy Dietla 63 (trzecie piętro, mieszkanie numer osiem).

Znajomi Marianka Kołdowskiego mieli dwóch synów, nieliczących się dla nas podrostków. Mogę tylko powiedzieć, że państwo Sendra byli ciepłymi, uroczymi ludźmi. Ona nam matkowała, on zostawiał jej dowodzenie. Po leżącej w ruinach Warszawie oszołomienie! Olśnienie: nic nie jest zburzone. Kraków senny, ale funkcjonuje normalnie. Dałem się porwać niewyżytej, poskramianej przez ohydne lata okupacyjne samodzielności. Rozpoczęła się trwająca trzy lata przygoda otwierająca przede mną codziennie nowe wyzwania. Oczarowanie teatrem, kinem, potańcówkami, caritas academica, życie studenckie, przyjaźnie, wir życia towarzyskiego, kulturalnego. Studiować na Uniwersytecie Jagiellońskim przyjechały też Hania Kuczamer (Gwiazdowska), która dostała się na matematykę, oraz moja sympatia Lucyna Winnicka (Kawalerowicz) na prawo. Z obydwiema przyjaźnie i wzajemna życzliwość trwają niezmiennie do dziś. Zostałem przyjęty na Wydział Lekarski Uniwersytetu Jagiellońskiego. Imponowało mi, że noszę bordową czapkę. Po prawej stronie, z boku, na otoku przy daszku nosili medycy malutki znaczek z Eksiapiosem i nad nim koronę Jagiellonów. Tym znaczkiem odróżnialiśmy się od farmaceutów. Życie studenckie, kulturalne, towarzyskie. Rodzina Bazińskich, Franciszek z Urszulką w Krzyszkowicach, Janeczka Iseppi, kleryk Andrzej we Włocławku (wyjątkowo szlachetny ksiądz Tomaszewski, ojciec duchowny), prawy Jurek, Teresa z wielbicielami z Klubu Starych Kawalerów i jeszcze dziecinna wtedy Marysia. Wszystkich skupiała wokół Małego Rynku i swojej niepozornej osobowości matka, Natalia z Reisingów. Niesamowicie pracowita, konsekwentna, umiejąca słuchać, codzienność wplatała w wizję konkretnej przyszłości. To był ktoś!

Pracowałem w Bratniaku, zostałem wiceprzewodniczącym komisji kulturalno-oświatowej. W czasie dwuletnich studiów byłem na wszystkich sztukach teatralnych. Widziałem wielokrotnie Solskiego, Zelwerowicza, Leszczyńskiego, Jaroszewską. Z Osterwą nawet rozmawiałem. Moim przyjacielem był Jurek Baziński. On już był po chemii. Miał własny trzydziestopięciometrowy, kiszkowaty, samodzielny pokój na drugim piętrze przy ulicy Floriańskiej. Zaprzyjaźniłem się również z lwowiakami Tadziem Chruścielem, Andrzejem Negruszem, Adasiem Głodzińskim, Adasiem Stenglem. Przychodzili na Floriańską Witek Krajewski, Maciek (Kondrad) Zub, Julek Niewiara. Podłe obiadki jadłem w stołówce w Domu Medyka przy ulicy Grzegórzeckiej. Z ulicy Kopernika po wykładach chodziliśmy tam codziennie razem z Hanią Horbaczewską i Marysią Wójcik. W czasie świąt zawsze

jeździłem do domu.

Przed wojną ukończyłem sześć klas szkoły podstawowej w Jeziornie Fabrycznej i zdałem do pierwszej klasy Państwowego Gimnazjum i Liceum im. T. Reytana w Warszawie przy ulicy Rakowieckiej. W okresie okupacji szkoła działała pod szyldem ogrodniczej szkoły zawodowej (Gartnereihandwerkerschule). Chodziłem do niej przez rok, potem uczyłem się w domu i jako ekstern zdawałem przed profesorami coroczne egzaminy. Od lutego 1945 roku poszedłem do drugiej klasy Licem im. T. Reytana w filii Skolimów-Konstancin. Filię tę utworzono dzięki ogromnemu zaangażowaniu profesora Stanisława Ostrowskiego. Do mojej klasy chodziły też Lucyna Winnicka i Hania Kuczamer, o klasę niżej byli Bogusław Rybczyński, Kazimierz Dziekanowski, Leszek Pijanowski oraz Stasio i Marian Niedzielscy. Alicja Cechnicka, córka Franciszka, mieszkała razem z Wandzią Ziomecką, córką nauczycieli z Wilczorudy, w tym samym pokoju nad sklepem w fabryce, gdzie ja się uczyłem podczas okupacji. Chodziła do czwartej klasy gimnazjum na Królewskiej Górze. W roku 1945 fabryka rozwiązała umowę z moim ojcem o najem sklepu, tym samym dziewczyny straciły miejsce zamieszkania, a tata otworzył w Jeziornie przy ulicy Bielawskiej sklep sukienno-galanteryjny z działem ręcznie plecionych koszyków, które ja przywoziłem z Podhala. W roku 1948 mój ojciec skończył z handlem, zaczął pracować jako urzędnik w Urzędzie Gminy Skolimów, w dziale podatkowym.

Trochę faktów:
Obecnie do gminy Jeziorna należą: Królewska Góra, Argentyna, Konstancinek, Kłopotów, Edwardów, Nowa Jeziorna, Klarysew, Klarysew pod górami, Gawronie, Kierszek, Czarnów, Wierzbno. Tu, gdzie obecnie jest budynek Urzędu Gminy, były pola obsiane zbożem i ziemniakami. Nie było żadnej zabudowy. Najważniejszym gospodarzem był Jan Madeński, jego synowie Henryk i Mietek i wnuczek Pawełek byli zawsze gotowi zaprzęgnąć swoje spasione konie i jechać gasić pożar. Szczepan Krystosiak, miejscowy rzeźnik, był ich sąsiadem. Na ulicy Ogrodowej powstały w 1923 roku dwa okazałe piętrowe budynki pań Smoczyńskiej i Walańskiej. W latach 1920-29 wójtem był Wojciech Boszewski ze wsi Cieciszew. Od 1930 roku wójtem był Antoni Jankowski. W 1930 roku sekretarzem gminy był Bolesław Skolimowski. W 1932 roku sekretarzem gminy został Lucjan Lipień – nasz wuj, mąż cioci Scholi. Jego pierwsza żona zginęła tragicznie. W tym czasie gońcem gminy był Pruśniewski, a woźnym Wawrzyńczak. Starszy syn Wawrzyńczaka był elektromechanikiem w młynie Terlikowskich, a młodszy Jan elektrykiem. Przed pierwszą wojną światową trzydzieści procent budynków było zelektryfikowanych. W ogóle nie było kanalizacji, wodociągów, asenizacji.

Początkowo Jeziorna nie miała ani jednego lekarza, księgarni, świetlicy, biblioteki. W 1925 roku był mały budyneczek łaźni miejskiej, gdzie pan obywatel Szyber, zamieszkały u pani Wolańskiej, grzał w piątek i sobotę wodę. W 1960 roku było w Jeziornie zarejestrowanych 60 rolników, którzy posiadali w swoich gospodarstwach około 120 krów. Ważni ludzie w mieście: Antoni Jankowski – wójt, Lucjan Lipień – sekretarz gminy, Edward Fijałkowski, Władysław Łabędzki – komendant ochotniczej straży pożarnej, Strzelczyk – komendant posterunku, czterech posterunkowych: Zieliński, Łukaszewski, Zajkowski i Matyjasiak.

Konkurencją handlu opanowanego przez Żydów była PSS „Społem", którą kierował Stanisław Daniszewski, jeżeli nie siedział akurat w Berezie Kartuskiej. Robił to z wielkim zaangażowaniem i bezinteresownie.

Obok pana Daniszewskiego trzeba wymienić współzałożycieli RKS „Mirków" i KS „Jezioranka" przy Domu Ludowym w Jeziornie, którzy jako jedyni mogli się pochwalić osiągnięciami społecznymi. Byli to Stanisław Wroński, Wacław Rąbalski, Lucjan Włodarski, Norbert Pankowski, Stanisław Grochulski. Z kierownictwa inżynierowie Witkowski, Szeleszkiewicz, Piotr Szczur.

W 1936 roku powstała biblioteka gminna, którą ofiarował z całym księgozbiorem inżynier Stefan Nowicki. Przy fabryce była również biblioteka robotnicza prowadzona przez Wincentego Cechnickiego, mojego ojca. Z inicjatywy rektora księdza Ryszarda Paciorkowskiego raczkowało w swojej działalności świetlicowej KSMM (Katolickie Stowarzyszenie Młodzieży Męskiej), sprzedając koperty ręcznie robione i prowadząc kiosk z czasopismami w środku osady.

Jedyna działalność społeczna w Jeziornie i fabryce wywodziła się z RKS „Mirków" oraz ochotniczej straży pożarnej, która przymusowo robiła oprawę uroczystości państwowych. Od 1926 roku zaznaczał swoją działalność proletariacki „Czerwony Mirków". Pamiętam, jak policja na koniach tłamsiła pierwszomajowe manifestacje, rozganiając demonstrantów...

Zbigniew Cechnicki, syn Wincentego
Klarysew, wrzesień 2008